POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień | Dnia 30-go listopada 1946 r | Rok VIII. Nr. 48

OD FUNDAMENTÓW

Etapy wydarzeń wojennych, kolejne wstrząsy, jak wrzesień w Polsce czy czerwiec we Francji, deportacje do Rosji, zwycięskie kampanie na Zachodzie, Powstanie Warszawskie i obozy w Niemczech — wszystko to wpływało na nasze nastroje, oceny i dążenia. Grupy polskie poza Krajem powstawały i rozpadały się, zmieniały miejsca pobytu, organizacja ich przystosowywała się do nowych warunków.

Suma przeżyć i cierpień doznanych na różnych szlakach w czasie wojny była rozmaita. Wydarzenia bezpośrednio przeżywane wybijały się na czoło, wydawały się najważniejsze. Dyskutowano na te tematy przy spotkaniach, patriotyzmy lokalne były silne. Było to zrozumiałe i nieszkodliwe.

Gdy jednak przyszedł lipiec 1945 r. i nastąpiło uznanie przez alianckie państwa zachodnie układu stosunków narzuconego Polsce siłą — we wszystkich środowiskach polskich za granicą zrozumiano, że jest to wydarzenie politycznie od początku wojny najważniejsze, że przewyższy ono w skutkach swoich nawet dzień 1-go września 1939 r. Od tej chwili zaczęła się wszędzie stopniowa likwidacja polskiego zorganizowanego życia poza Krajem, opartego o legalne władze cywilne czy wojskowe.

Zrozumienie tego stanu rzeczy nie mogło się odbywać bez buntu i oporów. Niepodległość odzyskana w 1918 roku, po tylu latach niewoli, była dla nas czymś niesłychanie drogim i cennym, czymś bardziej zrozumiałym i namacalnym, niż dla obywateli państw, które goryczy i bólu niewoli nigdy nie zaznały. Trzymaliśmy się więc kurczowo obumierających form naszego dotychczasowego życia, obumierających nie z naszej winy czy woli. Nie chcieliśmy w pełni przyjąć do świadomości poniesionej klęski.

Ten stan był i jest niesłychanie szkodliwy. W razie przedłużania się mógłby on stać się zgubny dla zdrowia moralnego i możliwości rozwojowych wolnej części narodu polskiego. Pozostaliśmy za granicą — przynajmniej duża, przeważającająca większość — dlatego, że nie chcieliśmy się pogodzić dobrowolnie z utratą niepodległości i nie utraciliśmy nadziei, że będziemy mogli prowadzić dalej zaczętą w 1939 r. walkę o Wolną Polskę. Walka — to nie jest rozdzieranie szat, protesty i tęskliwe spoglądanie w przeszłość.

Skuteczność działalności politycznej emigracji polskiej zależna jest przede wszystkim od dwóch czynników: od dobrej organizacji i od niezależności materialnej.

Dopóki jesteśmy utrzymywani — a tak jest w stosunku do olbrzymiej większości polskiego uchodźstwa wojennego — na zasadzie dobroczynnej, zapomogowej, nie możemy myśleć o większej swobodzie ruchów. Fakt, że ta pomoc obca płynie z przesłanek wypełniania, choć częściowego, zobowiązań formalnych i moralnych — w niczym nie zmniejsza następstw, które powstają w wyniku zależności.

Dążeniem każdego Polaka niewracającego do Kraju powinno zatem być przede wszystkim innym to jedno: stać się jak najszybciej jednostką produkcyjną, utrzymującą się z własnej pracy. Czy to obozy UNRRA w Niemczech, czy pobyt w P.K.P.R., czy też pomoc i zasiłki ze strony cywilnych organów brytyjskich powinny być traktowane jako coś przejściowego, jako zło konieczne. Stworzenie sobie samodzielnej egzystencji materialnej jest pierwszym rzeczywistym krokiem w walce o niepodległość.

Społeczeństwo polskie żyć będzie między obcymi narodami w większych grupach lub może częściowo rozproszone. Działać ono będzie na świat zewnętrzny drogą publikacji, przez kontakty osobiste w różnych środowiskach, montować będzie akcje pomocy materialnej na rzecz Kraju. Wszystko to wymagać będzie poważnych środków, które nie powstaną inną drogą, jak tylko przez ofiarność tegoż społeczeństwa. Będzie ona znów z kolei możliwa tylko dzięki niezależności materialnej jednostek.

Przeżyliśmy wpierw likwidację polskiej aparatury cywilnej poza Krajem. Widzimy nie bez bólu i poczucia krzywdy, że w dalszej kolejności ten sam los czeka Polskie Siły Zbrojne. Mamy jeden tylko legalny Rząd Polski i przez nas uznawany. Jeżeli by nam kiedyś przyszło wdziać mundury — będziemy wiedzieli, kto ma prawo wydać taki rozkaz. Wiemy, że tylko do tego Rządu należy ustalenie zasadniczych stanowisk.

Wiemy jednak również, że polskie władze legalne nie są uznawane przez organy publiczne państw, na których terenie wypadło nam żyć. W konsekwencji — mimo najlepszej woli — nie mogą one zapewnić obywatelowi polskiemu należnej opieki na tych obcych terenach.

Nie możemy bezczynnie przyglądać się temu stanowi rzeczy. Muszą powstać nowe formy organizacyjne, oparte na siłach społecznych i zawodowych, z wyłączeniem politycznych. Organizacje tego typu mogą liczyć na to, że obcy będą z nimi rozmawiać i liczyć się z ich zdaniem. Tym samym Polak na obczyźnie nie będzie tylko przedmiotem dyktanda i przetargu, ale przez swych przedstawicieli społecznych stanie się partnerem przy rozwiązywaniu wielu zagadnień bardzo istotnych dla jego życia.

Powinniśmy się więc cieszyć z rozkwitu polskiej działalności społecznej, a jeszcze bardziej z postępującego procesu jej łączenia się i scalania. Organizacje samopomocowe wszystkich trzech działów Polskich Sił Zbrojnych współpracują ściśle ze sobą, utrzymując jednocześnie jak najściślejszy kontakt z Komitetem Społecznym Organizacji Zawodowych. Ten ostatni zaś jednoczy olbrzymią większość organizacji polskich tego typu w W. Brytanii.

Życie społeczne uchodźstwa polskiego przybiera konkretne formy również na innych obszarach, a więc w Niemczech, Francji, Belgii i Holandii. W Londynie powstało Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii, które będzie przedstawicielstwem całego społecznego życia polskiego na tej wyspie. W przygotowaniu jest organizacja ogólna polskiego uchodźstwa wojennego, oparta również na podstawie społecznej.

Wierzymy, że jesteśmy świadkami końca okresu, nacechowanego szarpaniną bezplanową wśród sprzecznych uczuć i nierealnych nadziei. Buduje się od podstaw nowe życie polskie na obczyźnie. Polska emigracja polityczna XX wieku nie da się zepchnąć do roli t.zw. „białej“ emigracji rosyjskiej, która poszła drogą materializmu, wyłącznie zabezpieczania się osobistego, nie miała żadnego szerszego planu ideowego. Nie popełnimy również błędów własnej Wielkiej Emigracji (po roku 1831), która zaniedbała troskę o stworzenie realnych podstaw dla swej egzystencji i działalności.

WITOLD ALMARSKI

Dnia 29 listopada upływa pełnych siedem lat od chwili, kiedy — w obozie Wojska Polskiego w Coëtquidan we Francji — ukazał się pierwszy numer „Polski Walczącej“. Były to lata ciężkie w życiu naszego narodu i jego Sił Zbrojnych na obczyźnie, w życiu pisma i każdego z nas, kto w taki czy inny sposób związał z nim swoje myśli, uczucia i działania. Były to lata klęsk, zawiedzionych nadziei, zdawałoby się daremnych ofiar. I dziś nie otwiera się łatwa perspektywa. Ale cokolwiek jest już za nami i cokolwiek nas jeszcze czeka u progu ósmego roku, stajemy na nim może bogatsi o gorzką wiedzę, ale niezłamani, zdecydowani trwać na zajętym stanowisku. „Polska Walcząca“ chce pozostać wyrazem tej postawy. Przeszedłszy w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy ciężki kryzys, patrzy ona w przyszłość ze spokojem. Związała swój byt ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów i jak to Stowarzyszenie, mające z czasem objąć wszystkich żołnierzy Sił Zbrojnych, chce im służyć według najlepszej woli. Chce pozostać wierna tradycji lat minionych i sprostać nowym zadaniom.

PRZYSZŁOŚĆ WYSIEDLEŃCÓW

Obserwatorzy w Niemczech stwierdzają, że repatriacja Polaków do Kraju, przeprowadzana pod czujnym okiem UNRRA przestała mieć charakter powrotu ludzi wolnych, stała się „branką“, doprowadzonej do rozpaczy i rozgoryczonej masy ludzkiej. W pierwszym miesiącu kampanii repatriacyjnej powróciło do Polski 45.000 osób. Dalsze tysiące pójdą w ich ślady. Liczba Polaków w Niemczech zmalała w dniu 1 bm. do 300.000. Nie jest to cyfra ostateczna. Według oceny UNRRA zmniejszy się ona do końca tego roku do 200.000.

Tych, którzy wracają, nikt nie potępiał i nie potępi. Powrót do Kraju nie jest odstępstwem od solidarności narodowej lub aktem kapitulacji wobec wydarzeń, które przesunęły granice Rosji nad Łabę, niszcząc niepodległość, wolność i kulturalne dążenia narodu polskiego. Uchodźcy w Niemczech wyrazili niejednokrotnie swoje stanowisko w tej sprawie i zna je całe społeczeństwo polskie. Nie fakt powrotu, lecz świadomy udział w przekształcaniu Kraju na cząstkę sowieckiego imperium stanowi dopiero wyparcie się lojalności w stosunku do Europy i wyparcie się wierności narodowi.

Pomimo obecnych rozpaczliwych warunków pozostaną w Niemczech tysiące uchodźców cywilnych i b. jeńców wojennych, którzy do Kraju wracać nie chcą i nie mogą. Dla nich domagać się należy bezustannie tutaj i za oceanem prawa schronienia i życia w wolności do chwili, gdy dla wszystkich dobrowolnych wygnańców nie otworzą się drzwi wolnej i niepodległej, na nowo połączonej z Europą Ojczyzny.

Aby ocenić właściwie przyszłość wygnańców polskich w Niemczech i najlepszą formę pomocy, jakiej udzielić im mogą ich rodacy, żyjący w szczęśliwszych warunkach na Zachodzie, należy rzucić na chwilę okiem wstecz i dokonać przeglądu dotychczasowych planów, opracowanych przez Narody Zjednoczone.

MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA DLA UCHODŹCÓW

W lutym br. Zebranie Ogólne Narodów Zjednoczonych uchwaliło rezolucję, w której nie tylko udzieliło gwarancji, iż nikt kto ma uzasadnione przyczyny przeciw temu, nie będzie zmuszony do powrotu do swego kraju, lecz i uznało sprawę uchodźców przez „swą naturę i zasięg“ za zagadnienie międzynarodowe. Zgodnie z zamierzeniami autorów rezolucja została powszechnie zrozumiana, jako uroczysty akt wzięcia wysiedleńców przez Narody Zjednoczone — pod opiekę.

Rada Ekonomiczna i Społeczna stała się wykonawcą zaleceń Zgromadzenia Ogólnego, a wyłoniony przez nią Komitet Specjalny zajął się opracowaniem praktycznych rozwiązań tego olbrzymiego problemu. Od samego początku w Zgromadzeniu Ogólnym, Radzie Ekonomicznej i Społecznej, Komitecie Specjalnym ścierały się z sobą gwałtownie dwa sprzeczne poglądy co do dalszych losów wysiedleńców.

Sowiety, popierane przez swych satelitów, domagały się cofnięcia wszelkiej pomocy dla uchodźców i zastosowania zasady przymusowej repatriacji, którą w stosunku do swych własnych obywateli Rosja zastrzegła sobie już w Jałcie.

Kraje Europy Zachodniej, Dominia Brytyjskie, St. Zjednoczone stały na odmiennym stanowisku, broniąc zasad humanitarnych — prawa azylu, opieki nad prześladowanymi, życia w wolności od lęku i niedostatku dla ofiar wojny i pokoju.

Prace przygotowawcze są obecnie na ukończeniu i gdy piszemy te słowa Komisja Społeczno-Humanitarna Zgromadzenia Ogólnego N.Z. przeprowadza ostatnią rewizję konstytucji „Międzynarodowej Organizacji dla Uchodźców“, by ją przedstawić Zgromadzeniu do ostatecznego zatwierdzenia. Będzie ona zapewne uchwalona znaczną większością głosów.

Jednocześnie trudno jest wątpić, że niektóre państwa wspomnianej konstytucji nie podpiszą. Zapowiedziała to już Rosja, Jugosławia, Ukraina i — chociaż z odmiennych przyczyn — Indie. Dołączyć się do nich mogą inne państwa bloku wschodniego. Nie przeszkodzi to jednak temu, by „Międzynarodowa Organizacja dla Uchodźców“ powołana została do życia i zaczęła działać w przyszłym roku.

ZADANIA I MOŻLIWOŚĆ M.O.U.

Zadaniem „Międzynarodowej Organizacji dla Uchodźców“ będzie opieka prawna i materialna nad uchodźcami oraz przeprowadzenie planu ich osiedlenia. Plan ten pierwotnie obejmujący 100.000 osób rocznie, uległ ostatnio znacznemu ograniczeniu.

Dwie są główne tego przyczyny: brak funduszów i niechęć wielu krajów do przyjęcia w najbliższym czasie kilkuset tysięcy uchodźców z Niemiec (oprócz Polaków przebywa w Niemczech ok. 400.000 uchodźców innych narodowości).

Jak wynika z raportu Sekretarza Generalnego N.Z. kraje, które nie posiadają przestrzeni kolonizacyjnych, lecz potrzebują rąk do pracy, żyją w większym lęku ewentualnego bezrobocia w przyszłości, aniżeli braku siły roboczej zdolnej zapewnić pełną produkcyjność w chwili obecnej.

Inne kraje, na których terytorium znajdują się znaczne przestrzenie kolonizacyjne, przyjęłyby imigrantów pod warunkiem, że znaczne sumy potrzebne na akcję osiedlenia byłyby pokryte z zewnątrz. Niestety rozdzielenie ról państw udzielających terytorium na kolonizację i państw opłacających jej koszty — jest praktycznie niewykonalne.

Jednocześnie bowiem z opublikowaniem raportu, preliminaż budżetowy „Międzynarodowej Organizacji dla Uchodźców“, został drastycznie obcięty. Oficjalne uzasadnienie tej decyzji mówi, iż stało się to, „by wyrównać różnicę między kosztami planowanej akcji osiedleńczej i zasobami, jakie prawdopodobnie będą dostępne“. Przy zachowaniu dawnej skali kosztów obecny preliminarz budżetowy pozwoli na osiedlenie w 1947 ... nieco ponad 8.000 osób.

Wprawdzie w ostatnich dniach jedno z pism brytyjskich doniosło o żywszym zainteresowaniu kilku państw Ameryki Południowej wysiedleńcami w Niemczech, dodało jednak w komentarzu, iż „nie powinno się przywiązywać zbyt wielu nadziei do tego rozwoju sytuacji... istnieją trudności organizacyjne, transportu morskiego i pokrycia kosztów, które muszą być przezwyciężone, zanim rozpocznie się emigracja na najmniejszą nawet skalę a strumień jej popłynie dopiero, gdy wiadome będzie, że pierwsi osadnicy są zabezpieczeni, dobrze przyjęci i zarabiają na życie“.

NASTĘPSTWA PRAKTYCZNE

Wszystkie te fakty wymagają jasnego i wyraźnego stwierdzenia tak, by z jednej strony najbardziej nimi zainteresowani byli o nich należycie poinformowani oraz z drugiej, by sami Polacy zdawali sobie sprawę z konieczności ustalenia pierwszeństw w akcji osiedleńczej.

Z przedstawionych faktów wynika, że w ciągu najbliższych lat, w każdym zaś razie w ciągu roku najbliższego, liczba osób, która będzie mogła być osiedlona — jest nieznaczna. Miejsca dostępne dla uchodźców polskich muszą więc być użyte jak najbardziej celowo, uwzględniając w pierwszej kolejności — najbardziej zagrożonych. Wiadome jest, że za dwa lata szereg krajów, wśród nich Dominia Brytyjskie, mogą otworzyć drzwi dla imigrantów, dziś dla nich zamknięte. Ci więc Polacy, którzy mają warunki pozwalające im czekać do tej chwili, nie stracą możliwości osiedlenia zamorskiego, jeżeli ustąpią je dzisiaj bardziej potrzebującym.

Ze wszystkich Polaków, przebywających dziś na wygnaniu, los Polaków w Niemczech, jest pod każdym względem i bez porównania najcięższy. Jest więc rzeczą oczywistą, iż wszystkie możliwości osiedleńcze, jakie nasuną się w najbliższym czasie, powinny być wykorzystane na ich korzyść. Dotyczy to tak krajów europejskich, jak i zamorskich. Żyjący w najgorszych warunkach, wystawieni na ciężką próbę odporności fizycznej i moralnej, winni oni być pierwsi w znalezieniu warunków nowego, własnego życia. Dyktuje to poczucie sprawiedliwości, solidarności narodowej i zwykłej racjonalności w rozwiązywaniu spraw praktycznych.

Przypomnijmy, że Polacy rozsiani po świecie są potraktowani przez los w sposób bardzo różnorodny. Jedni, mimo decyzji pozostania poza granicami kraju, mogą patrzeć w przyszłość spokojnie, mając ofiarowaną pomoc przyjaciół i sprzymierzeńców. Inni ponoszą wszystkie skutki tej samej decyzji, wystawiającej ich na poniewierkę i cierpienia.

Wielu z nich oddało nieraz sprawie narodowej i sprzymierzeńcom większe usługi, niż Polacy, których los zaliczył do grupy uprzywilejowanej. Wielu okryło imię Polski nieśmiertelną sławą, stawiając opór całej potędze niemieckiej lub dając świadectwo umiłowania wolności ponad przeciętną miarę. Jak dotąd nie otrzymali nagrody i nawet sprawiedliwość nie stała się ich udziałem. Do klęski sprawy, jakiej bronili, pierwszy rok pokoju dodał nowe ciężary niepewności, obaw i ciężkich doświadczeń.

Jest teraz rzeczą ich szczęśliwszych rodaków wyrównać niesprawiedliwość losu. Przez solidarność i powszechną świadomość tego obowiązku, który winni wskazać im dotychczasowi kierownicy — Polacy mogą przynajmniej w części naprawić krzywdę i zmniejszyć uzasadnioną gorycz Polaków ciężej doświadczonych przez los.

„SUMIENIE CYWILIZOWANEGO ŚWIATA“

Udzielenie pierwszeństwa w osiedleniu Polakom w Niemczech winno być zamienione w czyn w sposób stanowczy i konsekwentny. Jaki tytuł mieć możemy, by domagać się od świata sprawiedliwości dla uchodźców w Niemczech, jeżeli sami nie zdobędziemy się na decyzję, którą dyktuje już nie tylko sprawiedliwość, lecz także solidarność i rozsądek?

Sprawę uchodźców „*Times*“ nazwał niedawno „wezwaniem do sumienia cywilizowanego świata“. Prasa amerykańska pisała o nim jako „wyzwaniu rzuconym humanitarnym celom Narodów Zjednoczonych“. Wiemy o tym, że jak wszystkie sprawy sumienia, tak i ta nie może być zapomniana bezkarnie. Wiemy jednak także, jak słaby jest jego głos w obliczu trudności. Nie pozwólmy go więc zagłuszyć, przypominajmy i kołaczmy nie tylko o rezolucje, postanowienia, plany, lecz i o szybkie ich wykonanie.

Szybkość jest istotna. Człowiek jest rzeczą kruchą i jeżeli nie ma być zmiażdżony, nie można nakładać na niego nadmiernego ciężaru. Ciężar zaś, pod którym żyją uchodźcy w Niemczech wzrasta z dniem każdym. Przyśpieszenie ich osiedlenia jest w pewnej mierze zależne od naszej decyzji i umiejętności jej przeprowadzenia.

OKRES PRZEJŚCIOWY

Pozostaje sprawa okresu przejściowego. Nie ulega już obecnie wątpliwości, że uchodźców polskich oczekuje w najbliższej przyszłości życie i praca w Niemczech w oparciu o własne siły. Wierzymy, że uchodźcy nie zostaną wydani na łaskę i niełaskę administracji niemieckiej i że powołana do życia „Międzynarodowa Organizacja dla Uchodźców“ czuwać będzie nad nimi, by nie stali się ponownie tanią, wykorzystywaną i okrutnie traktowaną siłą roboczą.

Wierzymy i apelujemy, by położono wreszcie kres zarządzeniom UNRRA, budzącym uczucia palącego wstydu i poniżenia, piszącym smutną kartę w historii. Wierzymy, że wolno będzie mieć Polakom ich własną prasę, związki i stowarzyszenia, że książka w ręku dziecka, szkoła dla młodzieży, kurs zawodowy dla p agnącego nauczyć się zawodu, studia dla młodzieży akademickiej — nie będą ani przestępstwem ani rzeczą, którą okupić trzeba posłuszeństwem wobec nakazów agentów warszawskich.

Są to minimalne prawa człowieka wolnego i jego wezwanie do „sumienia cywilizowanego świata“.

ZBIGNIEW JORDAN

Przegląd tygodniowy

PRZEJAŚNIENIE NA SZCZYTACH?

Robiąc bilans ostatnich wydarzeń na froncie dyplomatycznym, londyński „*Observer*" doszedł do wniosku, że na szczytach, w „dyplomatycznej stratosferze" następuje uspokojenie i przejaśnienie, podczas gdy „w dolinach wciąż jeszcze biją pioruny".

W rzeczywistości jednak trudno się dopatrzeć jakichkolwiek „oznak lepszego zrozumienia się Wschodu i Zachodu". „*Observer*" widzi je w ofercie Tity w sprawie Triestu, która jednak była tylko manewrem obliczonym na pozbycie się wojsk anglo-amerykańskich z Triestu; w zwolnieniu przez Stany Zjednoczone statków dunajskich, co nie jest dowodem odprężenia, lecz raczej gestem *appeasement'u* ze strony Ameryki; dalej w amerykańsko-czechosłowackim porozumieniu handlowym, którego znaczenia nie należy przeceniać; następnym dowodem odprężenia ma być niemal że osiągnięte porozumienie amerykańsko-sowieckie co do ujawnienia wojsk za granicą i wreszcie wzrost nadziei porozumienia w sprawie Niemiec.

To ostatnie jest jednak jeszcze całkiem wątpliwe, jeśli zaś chodzi o sowiecki plan ogłoszenia danych o ilości i rozmieszczeniu wojsk, znajdujących się poza własnymi granicami, to trudno ewentualne porozumienie w tej sprawie uważać za jakikolwiek objaw odprężenia.

W tym przypadku, jak w wielu innych, państwa Zachodu pozostawiły Sowietom inicjatywę i nie umiały postawić zagadnienia na należytej płaszczyźnie. Rosja dla celów demagogicznych wysunęła żądanie ujawnienia, ile wojsk znajduje się poza własnymi granicami. Liczy, że uzyska w ten sposób amunicję do propagandy antybrytyjskiej i antyamerykańskiej w świecie arabskim, Grecji, Chinach Panamie, Brazylii i td.

Ale nie jest rzeczą istotną, ile jest wojsk obcych w jakimś kraju; ważne jest tylko, jak się zachowują i jakie jest uzasadnienie ich pobytu. Brytyjczycy czy Amerykanie nigdzie nie osadzają reżimów marionetkowych, jak Rosjanie, ani nie ogałacają kraju. Jeśli zaś chodzi o uzasadnienie pobytu wojsk w obcym kraju, to jest rzeczą fałszywą powoływać się — jak to czynią Anglosasi — na zgodę rządu danego kraju; może bowiem, jak w wypadku Polski, chodzić o zgodę narzuconego rządu marionetkowego. Jedynym uzasadnieniem powinno być, że wojska te strzegą bezpieczeństwa danego kraju.

O tym wszystkim nie było w Nowym Jorku mowy. A podczas gdy pozwalano tam Mołotowowi na dywersję, zupełnie zapomniano o sprawach naprawdę istotnych, jak np. o problemie międzynarodowej kontroli energii atomowej. Rosja, jak dotąd, bardzo skutecznie przewleka dyskusję nad kontrolą atomową w nieskończoność.

NIEUDANA PRÓBA OGRANICZENIA VETA

Również i inne dyskusje w Nowym Jorku nie wskazują bynajmniej na odprężenie, którego chcą się dopatrzeć wytrwali optymiści zachodni. Jeszcze wprawdzie za wcześnie jest na ocenę, czy narady „wielkiej czwórki" na temat traktatów pokojowych dadzą tym razem jakiś wynik, czy też skończą się ostatecznym fiaskiem, ale faktem jest, że trzytygodniowe obrądy bardzo nieznacznie posunęły sprawę naprzód. Zresztą nawet porozumienie na ten temat nie zmieniłoby praktycznie niemal nic.

Jeszcze bardziej charakterystyczny jest przebieg dyskusji nad sprawą veta. Anglosasi starali się jak najbardziej pójść Rosji na rękę. Odrzucili oni zdecydowanie żądanie niektórych mniejszych państw, by w ogóle znieść haniebną i w najwyższym stopniu niebezpieczną zasadę veta. Próbowali uspokoić własną opinię publiczną i opinię mniejszych krajów przez jakieś skromne ograniczenie użycia veta w drodze dobrowolnego porozumienia wielkich mocarstw. Praktycznie nawet przyjęcie propozycji p. Bevina nie miałoby znaczenia, bo możliwość nadużyć nie ulegałaby żadnemu zmniejszeniu. A jednak Rosja nawet na to nie poszła.

Sowiety czują, że mogą sobie na takie absolutnie nieprzejednane stanowisko pozwolić, gdyż inni nie są w stanie veta usunąć czy je osłabić. Rosja tak postawiła sprawę w San Francisco, że teraz jest tylko jeden sposób na veto: stworzyć całkiem nową organizację bez Rosji. A na to niemal nikt nie chce się zdecydować.

EGZAMIN W GRECJI

Tymczasem O.N.Z. może niebawem stanąć wobec nowej próby, najcięższej z dotychczasowych i wcale nie byłoby niespodzianką, gdyby ostatecznie wykazała ona, że przy istnieniu veta organizacja ta jest jeszcze bardziej skazana na niemoc, aniżeli była Liga Narodów.

Próbą tą będzie skarga Grecji, która jest obecnie przedmiotem ledwo maskowanej agresji i inwazji. Nazywa się to wprawdzie, że w Grecji toczy się wojna domowa, ale w rzeczywistości tym razem jeszcze bardziej, niż na jesieni 1944 chodzi o akcję z zewnątrz. Rząd grecki posiada dowody na to, że partyzanci komunistyczni są szkoleni i uzbrajani przez Jugosławię, Albanię i Bułgarię. Co więcej, bandy atakujące garnizony pograniczne przybywają i wycofują się na teren Jugosławii pod osłoną ognia wojsk Tity. Jakże to inaczej nazwać, aniżeli jugosłowiańską agresją?

Położenie rządu greckiego jest bardzo ciężkie. Wewnątrz kraju musi się on liczyć z potężną piątą kolumną komunistyczną, przy czym warto podkreślić, że komuniści greccy gotowi są bez zająknienia oddać rozległe terytoria na północy wrogom Grecji, jako swym ideologicznym pobratymcom; ojczyzna dla nich jest tylko jedna — Rosja.

Moskwa liczy, że krecia robota od wewnątrz, sukcesy partyzantów na pograniczu, podważenie życia gospodarczego i td. przy braku rzeczywistej pomocy z zewnątrz podminuje pozycję rządu greckiego i że w ten sposób uda się w końcu wciągnąć Grecję do bloku wschodniego przez narzucenie jej takiego samego rządu marionetkowego, jakie mają już inne kraje bałkańskie.

ZACHĘTY DO ZUCHWAŁOŚCI

Nowa ofensywa przeciw Grecji, już nie tylko polityczno-progandowa, jak dotąd, już nie „wojna nerwów", ale prawdziwa inwazja o charakterze militarnym świadczy najlepiej, jak czcza jest gadanina o „odprężeniu" czy o „zmianie polityki sowieckiej". W rzeczywistości Rosja i jej satelici coraz bardziej zaostrzają sytuację międzynarodową.

Do ofensywy przeciw Grecji dodać trzeba także rekordowo wprost bezczelne zachowanie się marionetkowego reżimu rumuńskiego; zorganizowana przezeń komedia wyborów zaćmiła nawet widowiska tego typu w Jugosławii czy Bułgarii, względnie referendum w Polsce.

Rząd warszawski nie pozostaje w tyle, jeśli chodzi o rozzuchwalenie i coraz większy terror i bezwzględność. Dość wskazać zapowiedź generalnej rozprawy z Kościołem, a także fakt, że rząd Bieruta w ogóle nie odpowiada na noty w sprawie wyborów.

Nie trudno jest odkryć przyczyny, dla których zarówno w Nowym Jorku jak i w Macedonii, Warszawie czy Bukareszcie, blok sowiecki zachowuje się agresywnie i wyzywająco. Wyraźnie istnieje związek między tą taktyką, a wydarzeniami w W. Brytanii czy w Stanach Zjednoczonych. Z jednej strony debata w brytyjskiej Izbie Gmin i duża ilość posłów *Labour Party*, którzy przez powstrzymanie się od głosu zamanifestowali swą niechęć do brytyjskiej polityki zagranicznej, z drugiej zaś strajk węglowy w Ameryce, który musi mieć rozległe następstwa — z pewnością zachęcają Moskwę do nieprzejednania i nieustępliwości.

NADZIEJE MOSKWY

Sowiety zawsze przywiązywały wielkie znaczenie do wewnętrznych konfliktów, antagonizmów pomiędzy kapitałem, a robotnikami, i td. w krajach Zachodu. Według doktryny stalinowskiej wojna powinna była doprowadzić do rewolucji w krajach kapitalistycznych; a choć jak dotąd Moskwa daremnie czeka na rewolucję w W. Brytanii, czy w Stanach Zjednoczonych, to jednak bynajmniej nie straciła nadziei.

Tymczasem zaś Moskwa liczy na to, że wobec siły opozycji wewnątrz samej *Labour Party* p. Bevin nie będzie mógł występować zdecydowanie w obronie rządu greckiego, okrzyczanego jako „faszystowski". Ma także nadzieję, że w obliczu poważnych kłopotów wewnętrznych na tle strajku węglowego, St. Zjednoczone nie będą w stanie odegrać swej roli w polityce międzynarodowej, zwłaszcza że strajk ten uniemożliwi wypełnienie zobowiązań amerykańskich wobec krajów Europy zachodniej w dziedzinie dostaw żywności i paliwa, a tym samym poderwie prestiż Stanów.

Wielu posłów zbuntowanych przeciw polityce p. Bevina jest zdecydowanie wrogich komunizmowi. Również przywódca górników amerykańskich John Lewis jest wrogiem komunizmu i Rosji. A jednak i tamci i on bezwiednie oddali usługę Moskwie.

Londyn, 24 listopada 1946

ALEKSADER BORAY

W oczach obcych

Sprawa polska od dłuższego już czasu nie figuruje na pierwszym planie zainteresowań opinii brytyjskiej. Nawet najdonioślejsze wydarzenia w Polsce nie wywołują należytego echa. To też również i w ostatniej debacie o polityce zagranicznej w Izbie Gmin, spowodowanej głośnym wnioskiem zbuntowanych posłów z *Labour Party*, bardzo mało było mowy o Polsce. Niemniej pewne wzmianki zasługują na uwagę jako znamienne wskazówki ideologicznych bezdroży, na jakich znalazła się grupa intelektualnych doktrynerów socjalistycznych.

Tak np. główny mówca opozycji w *Labour Party*, poseł Crossman zrobił takie oto porównanie:

„*Rosjanie próbowali wcielić państwa Europy wschodniej do swego systemu gospodarczego i podporządkować je Rosji. Bardzo słusznie protestowaliśmy i walczyliśmy przeciw temu. Parę dni temu podpisany został traktat pomiędzy Chinami, a St. Zjednoczonymi. Nigdy nie widziałem traktatu, który bardziej brutalnie proklamuje prawo interwencji gospodarczej. A jednak nie powiedziano na ten temat ani słowa*".

Tak więc przywódca opozycji w *Labour Party*, usiłując wykazać, że W. Brytania powinna zająć stanowisko pośrednie pomiędzy Rosją, a Stanami Zjednoczonymi, na jednej płaszczyźnie stawia politykę gospodarczą Ameryki i Sowietów. Nie widzi różnicy pomiędzy polityką rosyjską, która oznacza obniżenie poziomu życia w krajach Europy wschodniej do poziomu nędzy rosyjskiej, sprzedawanie Rosji przez Polskę węgla poniżej ceny kosztu i td., a polityką amerykańską, która ofiarowuje kapitały, fachowców i maszyny dla podniesienia poziomu życia w Chinach tak, aby następnie mogły one kupować towary amerykańskie. Co za zaślepienie!

Jeszcze bardziej urągały zdrowemu rozsądkowi, a także zaprzeczały proklamowanej przez opozycję trosce o prawdziwie socjalistyczną politykę zagraniczną wywody posła Silvermana, który m.in. oświadczył:

„*Czy warto byśmy wystawiali na szwank wszelką możliwość rządu światowego dla zapewnieniu tego, co podoba nam się nazywać wolnymi wyborami w Polsce, w Rumunii i w Bułgarii? Są to kraje, które nie są jeszcze do nich przygotowane*"

Nie wiadomo zaiste, co bardziej podziwiać: bezgraniczną naiwność człowieka, który wierzy, że istnieje dziś możliwość stworzenia rządu światowego, czy złośliwą ignorancję, która podyktowała brednię, jakoby Polska nie była dojrzała do demokracji.

Sam poseł Silverman zresztą wykazał swą głęboką pogardę dla demokracji, gdy następnie wystąpił z takimi oto wywodami:

„... *Zakładając, że w Polsce odbyłyby się wolne wybory i zakładając, że rezultatem tych wolnych wyborów byłoby dojście do władzy rządu, któryby był w niezgodzie z Rosją nie tylko ze względów ideologicznych i gospodarczych, ale także innych, to czy ktoś naprawdę sądzi, że służyłoby to sprawie pokoju, lub że stan świata stałby się bardziej ustabilizowany?*"

Tak więc ten rzekomy socjalista woli, by nie było wolnych wyborów w Polsce, niż by naród polski miał prawo wybrać sobie rząd, któryby się nie podobał Rosji. Trudno sobie wyobrazić stanowisko bardziej reakcyjne, bardziej antyliberalne, bardziej — antydemokratyczne!

LECTOR

Polska pod okupacją: na Ziemiach Odzyskanych

WOKÓŁ GRANICY ZACHODNIEJ

Granica Polski na Odrze i Nissie jest granicą, na którą zgadzają się wszyscy Polacy, zarówno w Kraju, jak i na emigracji. Granica ta uważana jest za zagadnienie życia lub śmierci dla państwa polskiego.

Dlatego też, gdy amerykański sekretarz stanu Byrnes w swym znanym przemówieniu w Sztutgarcie zakwestionował tę granicę, wystąpienie to spotkało się z gorącym protestem społeczeństwa polskiego w Kraju, jak również emigracji polskiej w W. Brytanii i Francji oraz Polonii Amerykańskiej.

Podobnie całe społeczeństwo polskie jest zdania, że Niemcy muszą być usunięci z ziem polskich. Nasze doświadczenia z mniejszością niemiecką są tak bolesne i — tak świeże, że pozostawienie jej byłoby samobójstwem. Oczyszczenie ziem zachodnich z elementu niemieckiego jest aktem sprawiedliwości dziejowej, tym bardziej usprawiedliwionym po tym wszystkim, co naród polski wycierpiał pod okupacją niemiecką.

REPOLONIZACJA

Wiadomości z Kraju o repolonizacji Ziem Odzyskanych przyjmujemy z ulgą i radością. Ostatnio prasa krajowa przyniosła parę szczegółowych wiadomości. Oto, w chwili obecnej — jak podaje „Głos Ludu" nr. 688 — na Ziemiach Odzyskanych przebywa 4.237.040 Polaków, w porównaniu z 2.719.320 w lutym br. Gęstość zaludnienia na tych ziemiach wynosi obecnie 35,1 osób na kilometr kwadratowy. Największe zagęszczenie ludności jest na Śląsku Opolskim i Wrocławskim. 69% Polaków zatrudnionych jest na roli.

„Gazeta Ludowa" (nr. 274) podaje pewne szczegóły powtórnego polszczenia województwa dolno-śląskiego. Otóż na 1 maja br. w całym tym województwie było Niemców ogółem 1.167.479. W czasie od 1 maja do 15 sierpnia br. wysiedlono ich 579 tysięcy, czyli połowę tej liczby, która była w dniu 1 maja br. Wynika z tego, że w ciągu dalszych trzech i pół miesięcy, czyli na 1 grudnia można się liczyć z wyekspediowaniem ostatniego Niemca.

Na dzień 15 sierpnia br. procent Polaków w niektórych powiatach przedstawiał się następująco: Głogów 88%, Trzebnica 91%, Milicz 94%, Góra 98%. W niektórych jednak powiatach stosunek ten nie jest tak korzystny, jak np. w Wałbrzychu i Strzelinie, gdzie Polacy stanowią dopiero około 1/3 ogółu ludności. „Gazeta Ludowa" wyraża nadzieję, że na te tereny, głównie przemysłowe, skieruje się teraz specjalnie akcję osiedleńczą.

NIEPOLSKIE INTERESY P.P.R.

Jak wspomnieliśmy poprzednio, zgadzamy się z reżimem warszawskim co do granic zachodnich Polski oraz co do Niemców na tych ziemiach. Nasz stosunek jednak do tych zagadnień wypływa z zasadniczo innych motywów, niż stosunek komunistów polskich. Podczas gdy większość społeczeństwa polskiego kieruje się wyłącznie polską racją stanu, komuniści wykonują tylko polecenia Moskwy, są funkcją polityki sowieckiej.

Rozróżnienie to ma niesłychanie ważne znaczenie w praktyce. Polityka sowiecka, którą przeprowadza komunista Gomółka, jako minister Ziem Odzyskanych, dąży nie tyle do umacniania polskości na tych terenach, ile do budowania bazy, czy wału sowieckiego. Różni dygnitarze sowieccy w Polsce nie ukrywają tego, mówiąc, że Śląsk i Zagłębie Donieckie stać się mają w najbliższym czasie „kuźnią słowiańskiej siły" w rozgrywce z napierającą falą świata kapitalistycznego.

Dlatego też w praktyce Polaków zgermanizowanych nie jedna się dla Polski, ale dla PPR przez ofiarowywanie obywatelstwa, posad, przedsiębiorstw i ziemi za lojalność partyjną, a tępi się tych, którzy nie chcą komunizmu, choć mogliby być dobrymi obywatelami Polski. Również wobec Niemców deklarujących się jako komuniści polityka reżimu jest pobłażliwa, co godzi w interesy polskiej racji stanu.

Jedna z poufnych instrukcji PPR na województwo katowickie mówi m.inn.:

„...*Postulat granicy na Odrze i Nissie jest najważniejszym postulatem sowieckim, najbliższym i najbezpośredniejszym celem nie tylko naszej polityki państwowej, ale nastawienia oraz dążeń wszystkich rozumnie i przewidująco myślących komunistów. Stąd przy weryfikowaniu nie chodzi nam o rozwiązanie problemu niemieckiego w sensie wyrzucenia wszystkich Niemców — miernikiem, według którego należy rozwiązywać to zagadnienie nie jest wcale język, dawna przynależność do partii lub szkodliwa działalność antypolska, lecz światopogląd marksistowski.*

„*Specjalną opieką otoczyć należy dawnych komunistów niemieckich i wszystkich członków naszej partii. Zachęcać do wstępowania w nasze szeregi stojących dotąd na uboczu. Wykazywać im, że z miejsca uzyskają duże korzyści i opiekę. Ważniejsze z punktu widzenia interesów partii stojącej na gruncie międzynarodowym jest pozyskanie kilkudziesięciu tysięcy ludności narodowościowo niewykadrowanej i z tego powodu uległej, niż posiadać w tym terenie wszystkich szowinistów polskich z dawnego wschodniego pogranicza, których nienawiści do nas i ZSRR żadna siła nie ugasi*".

Podobnie jak w wielu innych dziedzinach życia dzisiejszej Polski komuniści działający w naszym Kraju na pierwszym miejscu stawiają interesy Sowietów i idei komunistycznej oraz ich cele, chociaż by to było z wyraźną krzywdą interesów polskich. Dla komunistów ponad miłością ojczyzny stoi uległość wobec wizji komunistycznego świata.

WEWNĘTRZNE ROZGRYWKI „BLOKU"

Odmowa PSL przystąpienia do „bloku demokratycznego" nie zakończyła kłopotów komunistów z montowaniem kamuflażu, za który chcieliby oni schować się przy wyborach. Aczkolwiek PPR, PPS i SL teoretycznie należą do tego „bloku", to jednak targi, ile kto ma dostać mandatów nie ustały.

Stronnictwo Ludowe na ostatniej Radzie Naczelnej uchwaliło domagać się, jak podaje „Dziennik Ludowy" (nr. 415):

„... *aby zasada równości była nadal regulatorem wzajemnych stosunków między zblokowanymi stronnictwami tak w toku akcji wyborczej, jak i po jej zakończeniu przy formowaniu władz państwowych*".

Tuż przed radą naczelną Stronnictwa Ludowego, generalny sekretarz tegoż stronnictwa p. Antoni Korzycki żalił się na złe jego traktowanie ze strony innych partii „bloku":

„*Nas ludowców* — pisał Korzycki na łamach „Dziennika Ludowego" nr. 408 — *cechuje prostolinijność, uczciwość i wiara w słuszność celu, do jakiego nasze Stronnictwo zmierza. Pragniemy, aby nas mogły dobrze zrozumieć inne, bratnie partie... Są jednak ludzie w niektórych kołach robotniczych, którzy czują swoją słabość i dlatego starają się pomniejszać znaczenie naszej siły, a nawet naszego Stronnictwa... Nie zgodzimy się na wyznaczanie nam roli ubogiego kuzyna...*"

Są to wyraźne przymówienia pod adresem pewnych kół reżimu, które widząc słabość Stronnictwa Ludowego w terenie, chciałyby je zupełnie wyłączyć i oprzeć reżim na dwóch stronnictwach, to jest na PPR i PPS, a w końcu tylko na partii czysto komunistycznej, czyli wyłącznie na PPR.

Rada naczelna Stronnictwa Ludowego bardzo też cierpko potraktowała utworzenie PSL-„Nowe Wyzwolenie", widząc w nim — obok roli dywersyjnej wobec PSL — także swego konkurenta.

Obóz reżimowy w obliczu wyborów przedstawia obraz rozbieżnych dążności i wewnętrznych konfliktów. Te wewnętrzne tarcia niewątpliwie istnieją, nie należy ich jednak przeceniać. Oparte są one bowiem głównie na ambicjach osobistych i mogą zostać każdej chwili usunięte, gdyż ośrodek dyspozycji tych różnych na pozór stronnictw znajduje się w jednym miejscu i w jednym ręku.

TADEUSZ NALER

Skrzynka pocztowa

„HUSARZE" I „HUZARZY"

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Polsce Walczącej" nr. 45 z 9.XI. b.r., p. Paweł Zaremba, pisząc o 14 Wielkopolskiej Brygadzie Pancernej, wspomniał również o „10 pułku „złotych" husarów... Umińskiego w wojsku Księstwa Warszawskiego". Pragnę wyjaśnić, że takich w historii wojska polskiego nigdy nie było.

Do XVIII wieku posiadała Polska chorągwie *husarskie* i pancerne, przy czym przymiotnik „husarski" pochodził od słowa *husarz* (l. mn.: *husarze*).

Natomiast w wojsku Księstwa Warszawskiego istniały dwa pułki *huzarów*, a nie „husarów", od słowa *huzar* (l. mn.: *huzarzy*); jeden dowodzony przez Tolińskiego, drugi — Umińskiego. Oba pułki nosiły mundury błękitne z węgierskimi wyszywaniami, z tym, że t.zw. „złoci" huzarzy Tolińskiego nosili ozdoby i guziki złote, natomiast huzarzy „srebrni" Umińskiego — ozdoby i guziki srebrne. Autor popełnia więc tutaj drugi błąd, wymieniając Umińskiego, jako dowódcę huzarów „złotych", podczas gdy w rzeczywistości dowodził on pułkiem huzarów „srebrnych". Przy tej sposobności nadmienić pragnę, że w użyciu były zarówno określenia: pułki huzarów „złotych" względnie „srebrnych", jak i nazwy: pułk złoty względnie srebrny huzarów.

W sprawie nomenklatury: *husarz* (*husarze*) w odniesieniu do dawnych chorągwi husarskich oraz *huzar* (*huzarzy* — chociaż czasem w literaturze lub piosence l. mn. brzmiała: „*huzarowie*") w odniesieniu do pułków huzarskich W. Księstwa Warszawskiego, pragnę ponadto zaznaczyć, że powyższe nazwy używane są nie tylko w polskiej literaturze historycznej i wojskowej, ale zostały autorytatywnie zatwierdzone przepisami pisowni polskiej, wydanymi przez Polską Akademię Umiejętności i w tym brzmieniu winny być przestrzegane zarówno w piśmiennictwie polskim, jak i w powszechnym użyciu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

ZYGMUNT P. GODYŃ

POLAND AND THE BALTIC

Ukazała się w druku w języku angielskim książka Henryka Bagińskiego p.t. „POLAND AND THE BALTIC", mająca duże znaczenie, jako gotowy zbiór argumentów dla rozmów Polaków z Amerykanami i Brytyjczykami w sprawie naszych praw do szerokiego wybrzeża Bałtyku oraz całokształtu spraw gospodarczych, zabezpieczających całość i niepodległość Polski.

Książka „POLAND AND THE BALTIC" nadaje się na pogadanki dla Anglików i można ją nabyć po cenie zniżonej 15/- za egzemplarz wraz z przesyłką pocztową wprost u autora, przesyłając „POSTAL ORDER" pod adresem: 60, Lexham Gardens, London, W.8.

Gwiazdkowy numer „Polski Walczącej" ukaże się w potrójnej objętości (12 stron) i będzie zawierał bogatą treść.

W SPRAWIE PRZEKAZYWANIA PIENIĘDZY DO POLSKI

Szef Służby Pieniężnej otrzymał następujące pismo z War Office.

Memorandum dla Szefa Sł. Pien. Szt. Gł. w Londynie.

Zapewne Panu wiadomo, że niedawno umożliwiono przekazywanie pieniędzy do Polski drogą normalną, t.j. za pośrednictwem banków.

Nie jesteśmy w stanie zorganizować przesyłek pieniężnych za pośrednictwem organów wojskowych, to też żołnierze Polskich Sił Lądowych, którzy zechcą przekazać pieniądze do swoich rodzin w Polsce, powinni udać się do jakiegoś banku po informację co do postępowania i warunków obowiązujących przy przesyłce pieniędzy.

Podkreśla się jednak, że War Office nie może się zgodzić na to, by przesyłanie pieniędzy do rodzin w Polsce stworzyło prawo do pobierania dodatku rodzinnego. Został Pan już powiadomiony o tym, że War Office nie może się zgodzić na wypłatę dodatków rodzin przebywających w Polsce i decyzja ta nadal pozostaje w mocy. Prosimy o wyjaśnienie tego wszystkim zainteresowanym oraz o powiadomienie nas, że to zostało podane do wiadomości.

podpis: G. P. CARR,
za Dyrektora Finansów

Pióro z „Wachlarza"*)

Wyjazd nasz — dnia 26 kwietnia 1942 r. z Pragi zapowiadał się bardzo romantycznie: samochodem ciężarowym pod firmą „*Luftgau Kommando Moskau*", prowadzonym przez autentycznego szofera wojskowego, kupionego bez reszty dla naszej sprawy. Auto naładowane było papą i beczkami ze smołą — w smole natomiast broń, amunicja i materiały wybuchowe. Był to jedyny wtedy sposób zorganizowania i zaopatrzenia naszych pierwszych magazynów broni i amunicji.

Na ten „chrzest bojowy" na beczkach ze smołą jechało nas wtedy piętnastu. Trzech skoczków z W. Brytanii i dwunastu młodych, rozentuzjazmowanych, świeżo wyszkolonych w dywersji chłopców z Warszawy, dla których ta eskapada miała posmak fantastycznej przygody. Jechaliśmy wszyscy na dziko, na fałszywych dokumentach i na bardzo dziecinnych legendach†).

Nastrój naszej piętnastki był doskonały. Nam trzem skoczkom w tej piętnastce wydawało się, że jedziemy z miejscowości Briggins na ćwiczebny jakiś wypad pod Londyn, pod dowództwem ówczesnego komendanta w obozie treningowym „Cichociemnych"‡). Jak nas było trzech, tak równocześnie przyszła nam ta sama refleksja do głowy i roześmialiśmy się głośno.

Najstarszy spośród trzech był kpt. „Mak" i on wobec tego był szefem eskapady, z tego też powodu ciążył na nim obowiązek obserwowania nas w ciągu podróży i podzielenia według zaobserwowanych kwalifikacji na trzy patrole. Zdał w tym miejscu świetnie egzamin dobrego psychologa. Zespoły przez niego wyznaczone uzupełniały się charakterami w tej naszej pierwszej akcji egzaminacyjnej — doskonale.

Do linii Bugu podróż nasza trwała bez żadnych komplikacji. Patrole niemieckie nie zwracały uwagi na wóz wojskowy a kontrole ograniczały się tylko do sprawdzania papierów kierowcy. Dopiero na moście na Bugu przed wjazdem do Brześcia patrol straży granicznej z oficerem Gestapo poddał nas bardzo szczegółowej rewizji, kontroli dokumentów i egzaminowi.

Było to moje pierwsze zetknięcie się bezpośrednie z mundurem Gestapo i tym tak typowym dla Niemców brutalnym obchodzeniem się z Polakami. Jeden z nas za to, że miał cukierka w ustach został pobity po twarzy i skopany.

Na tym jednak egzamin się ograniczył i wjechaliśmy do Brześcia, w którym „kontakt" dany nam w Warszawie nie zawiódł. Tam otrzymaliśmy na nasze żądanie „kontakty" po Stołpce włącznie na dalszą trasę naszego zadania.

Od Baranowicz począwszy wjechaliśmy w teren zupełnie surowy, gdzie wszystkie „kontakty" były albo „dęte", albo adresaci dawno już aresztowani lub rozstrzelani.

Wtedy dopiero zdaliśmy sobie sprawę z „Makiem" i „Krzemieniem", że praca nasza musi być w pierwszym etapie mniej dywersyjna a więcej pioniersko-organizacyjna i że praca ta będzie niesłychanie trudna. Spoważnieliśmy wszyscy, bo był to pierwszy strumień zimnej wody, wylany na nasz bardzo wielki entuzjazm i optymizm.

Na ludność miejscową liczyć nie mogliśmy, była nam zawsze wroga. Ludność pogranicza — białoruska — otwarcie współpracowała z Niemcami. Skrycie jednak ciążyła ku wschodowi. Ludność polska niesłychanie patriotyczna, lecz przerzedzona okupacją sowiecką i teraz niemiecką — mało aktywna i zastraszona. Tak wyglądała ocena położenia po pierwszych obserwacjach i zetknięciu się z ludnością na trasie naszej podróży.

Chłopcy nasi mimo, że staraliśmy się ukryć nasze bardzo pesymistyczne spostrzeżenia i wnioski, stracili na humorze, może dlatego zresztą, że zbliżaliśmy się już do właściwego naszego zadania. Dochodziliśmy do stacji Kołosów, punktu granicznego *Ostlandu* — terenu już wojennego.

Dojazd był o tyle trudniejszy, że parę kilometrów na północny-zachód od Kołosowa zakopaliśmy dwie beczki z materiałami wybuchowymi a amunicję i broń osobistą schowaliśmy w bardzo prowizorycznej skrytce auta. Od rozejścia się patroli na samodzielne zadania dzieliło nas około godziny jazdy. Po wykonaniu zadania i po samodzielnym rozpoznaniu przez każdy patrol z osobna okolicy Mińska, powrót do Brześcia miał być wykonany własnymi siłami i własnym przemysłem dowódców patroli. Z Brześcia do Warszawy tym samym autem, znowu pod dowództwem „Maka".

Na stacji Kołosów spotkała nas niespodzianka. Dowódca placówki granicznej bez żadnej rewizji, ograniczając się tylko do wylegitymowania nas wszystkich, przepuścił auto, dał nam natomiast patrol pięciu żołnierzy uzbrojonych w „Schmeisser'y". Speszyło nas to bardzo, bo sądziliśmy, że dostaliśmy asystę do samego Mińska, co wykluczałoby spokojne urwanie się patroli na zadania, a zmusiłoby nas do stoczenia walki na bardzo ruchliwej szosie. Obawa na szczęście okazała się płonna, bo żołnierze bardzo prędko w wyjątkowo przyjacielskiej rozmowie wyjaśnili nam, że jadą na zmianę służby na stację kolejową Kojdanów. Szczęście nam sprzyjało — oby tak dalej.

Na 17-ym kilometrze przed Mińskiem był punkt mojego sabotażu. Krótkie życzenia „złam pysk" i moja piątka opuściła wygodny środek lokomocji.

W tym momencie przeżywałem dużą emocję, bo stwierdziłem, że mapa nie gra mi z terenem. Lasy w pobliżu toru wycięte, brak stąd punktu orientacyjnego w terenie koło wyznaczonego mi przejazdu kolejowego, który mam zniszczyć. Teren płaski jak stół — zatem niebezpieczny do „szwendania się".

Jestem speszony, ale nadrabiam miną. Postanawiam zaszyć się w las, ludzi zostawić, samemu pobieżnie rozpoznać teren natychmiast, a szczegółowo dopiero o zmroku. Las zamknięty między torem kolejowym a szosą jest świetny, jako baza wypadowa. Dla zamaskowania się wziąłem komplet narzędzi ślusarskich ze sobą, patrolowi zaś poleciłem ubezpieczyć się i w czasie mej nieobecności przygotować ładunek połączony na szynę i przęsło zewnętrzne, odpalany w jednym ogniu nadjeżdżającego pociągu, zapalnikiem automatycznym, przyciskowym.

Rozpocząłem spacer. Częstotliwość przejeżdżających pociągów — ogromna. Linia dwutorowa. Prawie na każde pięć minut pociąg na wschód albo na zachód. Charakterystycznego dudnienia pociągu na mostku pochwycić nie mogę. Pocieszam się jednak tym, że ruch pociągów w czasie nocy będzie zmniejszony w związku z istniejącymi sabotażami sowieckimi. Po godzinnym spacerze znalazłem właściwy przejazd i stwierdziłem z radością, że jego położenie jest wyjątkowo wygodne do podejścia, zwłaszcza o zmroku, bo od budki dróżnika około 100 metrów odległości. Budka w zarośniętym ogrodzie, poza tym z kilku dużymi drzewami, z żórawiem-studnią i zabudowaniami gospodarskimi — a przejazd jedno-przęsłowy długości około 20 metrów, nisko przewieszony nad mokrym rowem, mocno obrośniętym sitowiem.

Po około dwu godzinach powróciłem do zaniepokojonego moją długą nieobecnością patrolu, bardzo zadowolony z wyniku rozpoznania. Rozumiałem dobrze, jak zachwiane byłoby zaufanie ludzi do mnie w wypadku, gdyby pierwsza ostra robota nawaliła.

Egzamin dla mnie i dla mojego zespołu zapowiada się dobrze: pogoda piękna, osiedla ludzkie rzadkie, tor — odniosłem wrażenie — słabo strzeżony, bo w czasie swego prawie dwugodzinnego spaceru wzdłuż toru widziałem tylko jeden patrol w sile 1 : 1 i jedną drezynę naprawczą. Nastrój ludzi świetny i wcale nie widzę objawów tremy. Jedyna rzecz to, że z zapadnięciem zmroku zaczynają ciąć cholernie komary — zaczynamy puchnąć i kląć w niemożliwy sposób.

Po skontrolowaniu naboju na most podałem do wiadomości plan działania. Wyglądał on w ten sposób: dwóch ludzi miało mnie ubezpieczyć od strony zabudowań, jeden od kierunku Fanipola po linii toru, a jeden miał mi osobiście pomóc przy uzbrajaniu szyn i przęsła. Do zupełnego ściemnienia czekamy z dwu powodów: 1) możliwość skrytego podejścia do przejazdu, 2) mniejsza ilość pociągów na linii a zatem więcej czasu na uzbrojenie i na odskok na odległość bezpieczną w czasie detonacji.

Zadanie wykonaliśmy według planu o godzinie 23-ej bez żadnych komplikacji. Został wykolejony pociąg sanitarny, idący na zachód. Efekt wykolejenia obserwowaliśmy z bardzo dumnymi minami na odległość około 200 metrów ze skraju wyciętej przesieki lasu koło toru. Ruch na linii uległ wstrzymaniu niestety tylko na 8 godzin, gdyż w tym okresie jeszcze Niemcy dysponowali świetnie wyszkolonymi patrolami saperskimi, naprawiającymi tory na drezynach motorowych.

Odskok do Mińska wykonaliśmy wbrew wszelkim zasadom i instrukcjom — najruchliwszą szosą Stołpce-Mińsk.

Tak wyglądała nasza pierwsza dywersja, z której byliśmy niesłychanie dumni, tym bardziej, że po trzech dniach spotkały się trzy nasze patrole po udanych sabotażach bez żadnych strat i z wariackim zapałem do następnych wyczynów — w umówionym Brześciu nad Bugiem.

MIRA

*) „Wachlarz" — kryptonim na oznaczenie akcji dywersyjnej, prowadzonej przez Armię Krajową przeciwko Niemcom na wschodzie. Podzielony na 5 kierunków obejmował dywersją teren od Witebska po Kijów.

†) „Legenda" — *curriculum vitae*, uzgodnione z posiadanymi dokumentami osobistymi. Ponieważ dokumenty w większości wypadków były fałszywe, fałszywa była i „legenda". W oczach władz okupacyjnych i niewtajemniczonych w konspirację legalizowała ona pozycję oficjalną konspiratora.

‡) „Cicho-ciemni" — skoczkowie wysyłani do Kraju.

„V"

Niezwykły, niespotykany dotąd ruch panuje od kilku dni w Oddziale Specjalnym Sztabu N.W. przy Upper Belgrave Street w Londynie. Przed gmach oddziału zajeżdżają co chwilę i odjeżdżają samochody i motocykle. Przybywają i odjeżdżają oficerowie alianccy i gońcy.

I wewnątrz gmachu odczuwa się gorączkowy nastrój. Ciekawe, że alianccy goście nie kierują się, jak zazwyczaj do szefa, lecz biegną wprost do referentów. Mianowicie do pokoju, w którym dalekopisy odbierają depesze szyfrowe, nadawane z radiostacji położonych poza miastem. Można ich też spotkać w biurze szyfrów, gdzie z zainteresowaniem śledzą pracę szyfrantów. Nie tylko jednak obserwują czynności pracowników, starają się je przyśpieszyć, pomagają.

Praca o tym napięciu trwa zresztą nie tylko w godzinach służbowych, nie tylko wieczorami, ale przeciąga się w noc. Pracownicy zmieniają się kolejno po krótkim tylko wypoczynku, nie mogąc podołać nawałowi depesz a jest oczywiste, że bardzo zależy na ich najszybszym odczytaniu.

Wszystko to stwarza nastrój podniecenia i rozgorączkowania. Nastrój ten jednak panuje nie tylko w komórce polskiego sztabu, jest on powszechny. Cały świat z zapartym oddechem oczekuje na zbliżający najpotężniejszy akt w toczącej się największej z wojen — na inwazję Europy.

* * *

Niemieckie sfery kierownicze zdawały sobie sprawę z nastrojów swojej ludności, to też aparat dr. Goebbelsa i on sam czynili cuda dla podtrzymania nastrojów. Wyglądało, jak gdyby nie była to już propaganda, lecz zastrzyki narkotyku, stan odurzenia, gdzie prawda i kłamstwo splatały się w jeden stek fantazji. Gdy okazało się, że wiara w wytrzymałość „wału zachodniego" załamuje się, pojawił się nowy slogan powtarzany we wszystkich możliwych odmianach: „*Neue Waffe*". Ona uratuje Niemcy, ona zapewni zwycięstwo.

Już wiele kawałów miał na swym sumieniu dr. Goebbels i jego aparat. Czyżby i ta sensacja miała być tylko jeszcze jednym zastrzykiem narkotyku dla społeczeństwa niemieckiego a ostrzeżeniem Aliantów?

Ile wiary przypisywać tym wiadomościom? Czy w ogóle ta broń istnieje? Jeżeli tak, jakie ma właściwości? Jakie są skutki działania? Przeciwko jakim celom może być użyta? O ile może się odbić na przebiegu wojny?

Na te wątpliwości — niewtajemniczeni nie znajdywali odpowiedzi, gdyż takich szczegółów w czasie wojny się nie ujawnia.

A co o tym wiedziały sztaby?

* * *

Jeszcze w ciągu 1943 r. AK dostarczyła do Londynu pewnych wiadomości, że „*Neue Waffe*" nie jest fantazją dr. Goebbelsa. Wywiad AK stwierdził, że w obozie „Luftwaffe" w Pianoujściu (Püneminde) dokonywane są doświadczenia nad tą nową, tajemniczą jeszcze wówczas bronią, jednak bliższych szczegółów nie dało się ustalić.

Po nadesłaniu do Londynu przez wywiad AK dokładnego planu obozu w Pianoujściu — RAF dokonał znanego nalotu, podczas którego zginął szef sztabu „Luftwaffe", gen. Jeschonek i część ekipy inżynierów konstruktorów. Na skutek zniszczenia urządzeń obozu doświadczenia zostały znacznie opóźnione.

Tymczasem wiosną 1944 r. zaczęły z Francji napływać wiadomości, że Niemcy budują nad kanałem całe setki wyrzutni. Wszystko wskazywało, że są to prace wstępne do użycia jakiejś nowej broni. Zaś rozmiary przygotowań mogły budzić niepokój, było to przedsięwzięcie zakrojone nie na byle jaką skalę. „*Neue Waffe*" ze sfery fantazji zaczęła wkraczać w fazę realizacji.

Sztab aliancki, będący w pełni przygotowań inwazyjnych, stanął wobec zagadki, do jakiego stopnia nowa broń może odbić się na działaniach desantowych. Zdobycie szczegółów konstrukcyjnych i skutków działania nowej broni stało się zagadnieniem istotnym. Wiadomości te mogły wyjaśnić, czy przedsięwzięcie inwazyjne, w które rzucono tak olbrzymie wysiłki — jest w ogóle realne. A jeżeli nie, to jak długo znękana Europa czekać będzie na przygotowanie innego, nowego planu, jak długo jeszcze przeciągnie się wojna w tym wypadku i czy jej ostateczny wynik może być pomyślny?

I wówczas AK przychodzi znów z pomocą sztabom alianckim. Awizując wprzód, że jest na tropie doświadczeń niemieckich nad użyciem nowej broni i opisując ogólnie jej właściwości, w tym krytycznym momencie wojny nadsyła do Londynu szereg depesz zawierających już jej szczegóły konstrukcyjne.

Nic więc dziwnego, że depesze te wzbudziły tak żywe zainteresowanie: każdy dzień, każda godzina w tych okolicznościach była droga. To te depesze płynące z Warszawy do Londynu stanowiły właśnie powód tego ruchu, który panował w Oddziale Specjalnym Sztabu N.W.

A oto, w jaki sposób te wiadomości demaskujące najściślejsze niemieckie tajemnice — zostały zdobyte w Kraju:

Pod koniec 1943 r. uzyskano poufne informacje, że na terenie Polski mają się odbyć doświadczenia niemieckie ze straszną, nową bronią. Tajemniczość i środki ostrożności, jakie Niemcy przedsięwzięli były dostatecznie podniecające, by zainteresować Służbę Informacyjną AK dla jak najwcześniejszego zdobycia tych tajemnic.

Zarządzona obserwacja ustaliła wkrótce potem, że w obozie SS w środkowej Małopolsce obok Mielca, Niemcy podejmują jakieś podejrzane przygotowania. Chociaż obóz ten był dotąd bardzo troskliwie strzeżony, ochronę jego zaostrzono jeszcze bardziej, co wzbudziło tym większą czujność AK.

Stopniowo napływające wiadomości były coraz to wyraźniejsze. Rejestrowano przybywanie pilnie chronionych, tajemniczych ładunków kolejowych na specjalnie konstruowanych olbrzymich lorach, budowanie betonowych stanowisk na terenie obozu oraz częste odwiedziny rozlicznych komisji. Sieć agencyjna AK wokół obozu została szeroko rozbudowana a obserwacja zaostrzona.

Wreszcie w połowie stycznia 1944 r. oddano pierwszy strzał z tajemniczej broni, o czym zaraz nadszedł meldunek do podziemnej Warszawy. W kilka dni później przyszła wiadomość spod Rejowca z Lubelszczyzny, z terenu odległego od obozu o około 300 klm., że upadł tam olbrzymi pocisk, zniszczył kilka domów a przybyła natychmiast komisja niemiecka skrupulatnie pozbierała wszelkie odłamki pozostałe po wybuchu. Początkowo nie kojarzono jeszcze obu tych wiadomości ze sobą.

Później jednak, gdy sieć obserwująca obóz donosiła o oddaniu następnych strzałów, o kierunku lotu i kształcie pocisku, który mógł być obserwowany w locie i gdy ustalono miejsca upadku — zjawisko spod Rejowca stało się jasne.

Z napływających meldunków wiedziano, że kierunki strzału były zawsze zbliżone do siebie a punkty upadku pocisków odległe od siebie o kilkadziesiąt kilometrów wszerz i w głąb. Ustawione na kierunku strzału niemieckie oddziały samochodowe natychmiast po wybuchu pocisku przybywały na miejsce i zbierały skrzętnie wszystkie najdrobniejsze odłamki.

Znano już jednak kierunki strzału i przybliżoną nośność broni. Chodziło więc tylko o to, by uprzedzić Niemców w podjęciu odłamków. Zainstalowano więc na całej trasie lotu pocisku własną sieć dla tego celu. Od tej chwili rozpoczął się wyścig, kto pierwszy dopadnie miejsca upadku pocisku i ... uprzedzi konkurencyjną firmę w zebraniu zbobyczy.

Niemcy mieli nad siecią AK wyższość dzięki zupełnej swobodzie ruchu, dzięki większej ilości samochodów, środków łączności i tp. Pomimo to jednak przybywali częstokroć spóźnieni, długo i z pasją szukali — musieli jednak odjechać z niczym lub bez tej części pocisku, która właśnie była potrzebna wywiadowi polskiemu. Odłamki znikały i natychmiast odstawiane były do Warszawy do komisji technicznej AK, która rozpoczęła wytężoną pracę nad wyjaśnieniem tajemnic tego nowego wynalazku.

Z czasem rozrzut broni zmniejszył się znacznie i pociski upadały w dość zacieśnionym rejonie o średnicy około 15–25 klm., co znacznie ułatwiło Niemcom zakwaterowanym w pobliżu uprzedzanie patroli AK. Niemniej w tym okresie uzyskano może jedną z najlepszych dotychczasowych zdobyczy.

Oto jeden z pocisków upadł na pochyły brzeg rzeki Bug pod wsią Sarnaki i nie wybuchł. Zanim Niemcy przybyli udało się zepchnąć pocisk do wody, ukryć go w ten sposób przed nimi i zabezpieczyć do rozporządzenia polskiej komisji. Wysłani z Warszawy na miejsce upadku polscy inżynierowie z komisji technicznej AK dokonali pomiarów, zdjęć fotograficznych i wymontowali najbardziej cenne części pocisku, które przywieźli do Warszawy.

Dzięki tej okoliczności i usilnej pracy w ciągu wielu tygodni stopniowo rozgryzano szczegóły konstrukcyjne nowej broni i jej cechy charakterystyczne zarówno ze zdobywanych odłamków, części składowych, jak też i ze wszystkich informacji napływających z rejonu zainstalowanej wyrzutni i z trasy lotu pocisków.

Zarejestrowane było każde oddanie strzału, kierunek lotu, warunki atmosferyczne, nośność, okoliczności i miejsca upadku. W ten sposób obraz wartości i cechy nowej broni oraz pocisku a jak można było już ustalić: torpedy — stawały się z każdym dniem wyraźniejsze w miarę postępów doświadczeń niemieckich, gdyż równolegle z nimi postępowały i studia komisji AK.

Jest oczywiste, że wiadomości te w miarę ich zdobywania przekazywane były natychmiast do Londynu przez radio i pocztą kurierską.

Ale nie wszystkie szczegóły konstrukcyjne nadawały się do przekazania przez radio lub do opisania w meldunku. Jakże cennym elementem dla techników alianckich byłoby dostać do rąk i do laboratorium poszczególne oryginalne części torpedy! Skompletowano więc wszystkie najbardziej charakterystyczne odłamki i ciekawe urządzenia torpedy i wraz z dociekaniami techników polskich przez jednego z nich wysłano do Londynu latem 1944 r.

Emisariusz wraz z drogocennym 50 klgr. ładunkiem odleciał luksusowo samolotem z Polski do Wielkiej Brytanii. Wiózł go „Hudson" aliancki przysłany z bazy włoskiej pod Brindisi. Podjął on pasażerów wraz z ich bagażem z zaimprowizowanego lotniska AK w Małopolsce pod Tarnowem. W trzy dni potem technicy alianccy w Londynie mieli w swych rękach oryginalne części torpedy, które niedawno temu wystrzeliwane były z wyrzutni na terenie Polski. Była to jedna z wypróbowywanych odmian torped „V".

Doświadczenia z tą nową bronią dokonywane przez Niemców w Polsce kosztowały Kraj wiele ofiar. Torpedy padając, nie przebierały w miejscach upadku i trafiały we wioski i miasteczka. Wiele domów wraz z mieszkańcami i dobytkiem uległo przy tym zniszczeniu. Wielu pracowników sieci informacyjnej AK, zatrudnionych przy zdobywaniu tych tajemnic wpadło w ręce Niemców i oddało swe życie.

Niemcy podczas doświadczeń nie panując jeszcze nad nową bronią i pragnąc widocznie uniknąć strat we własnym kraju, próby te przenieśli na obcy, polski teren. Przez tę jednak nieostrożność pozwolili tajemniczą broń, po której skuteczności tyle sobie obiecywali, [illegible] służby informacyjnej AK. Ona zdemaskowała ją przedwcześnie. Alianci zachodni powiadomieni o istnieniu tajemniczej broni i jej cechach charakterystycznych mieli możność przedsięwziąć odpowiednie środki zaradcze, [illegible]. Gdy zaś rozpoczęło się ostrzeliwanie południowych wybrzeży Anglii nową bronią, jej działanie i skuteczność oraz wszelkie inne możliwości nie były już dla sprzymierzonych zaskoczeniem.

ADAM HELLER

POWSTANIE LISTOPADOWE

Nam w piersiach płomień zemsty
a w garści szabla goła —
znowu nas przyszła Polska
na koń, pod broń zawołać.

Nam męstwo młodych bogów,
pogarda łez i śmierci —
wroga nam razić trzeba,
bagnetem pierś przewiercać.

Warszawa bije w alarm,
czas buntem w Wielkość wzbiera —
zwycięski zacznie pochód
w świat cały z Belwederu.

Skrzydlate orły w słońcu,
kling srebrne błyskawice —
powtórzyć Somosierrę,
Jenę i Racławice!

W hejnały dzwonią surmy,
sztandarów szum gra w pieśni —
w błysk mieczów dzień nam złocić
i w Czyn go ucieleśnić,

I rozpiąć dumną chwałę
jak sztandar, hen wysoko —
na Zamku, na Kolumnie,
na polski ten Akropol.

Nam wieńce z krwi na skronie
i tłumnych ludów podziw —
TO MY, co każem w Polsce
Wolności się narodzić.

Nam sława wszystkich wieków,
szumiące orle szlaki —
nad nami grzmot błyskawic
i Nike z Samotraki.

ADOLF FIERLA

Gawędy o W. Brytanii

Demokracja polityczna — demokracja społeczna

Znany teoretyk socjalistyczny prof. Harold Laski, pisząc niedawno w „*Manchester Guardian*“ o cechach demokracji powiedział słusznie, iż należy odróżnić dwie rzeczy: demokrację polityczną i demokrację społeczną. Kraje — zaznaczył Laski — które mają prawdziwą demokrację polityczną mogą nie mieć pełnej demokracji społecznej. Prof. Laski, zwolennik pewnych ustrojów w Europie nie omieszkał tu dodać, że n.p. W. Brytania jest demokracją polityczną, ale nie jest pełną demokracją społeczną i że pod tym ostatnim względem bije ją — Rosja sowiecka.

Pozostawmy na boku wątpliwe wnioski prof. Laskiego. Ale postarajmy się natomiast przyjąć jego zasadnicze rozróżnienie, które — naszym skromnym zdaniem — zawiera więcej, niż ziarno prawdy. Zajmijmy się pokrótce cechami demokracji politycznej i społecznej W. Brytanii.

Demokracja polityczna, przypomina Laski, to system parlamentarny, swoboda zrzeszania się partyj politycznych, wolna dyskusja, wolność zebrań, wolność prasy. To wolność sądownictwa, na które państwo nie wywiera nacisku; to wolności obywatelskie takie, jak wolność wyznania, to możność odwołania się do sądu, to fakt, że nie wolno więzić człowieka nieskazanego wyrokiem sądu.

Te wszystkie swobody daje swoim obywatelom W. Brytania. Państwo to, podobnie jak Francja, kraje skandynawskie, Szwajcaria, Belgia, Holandia, Dania, przedwojenna Czechosłowacja, tragicznie zgasłe państwa bałtyckie, Finlandia — jest pełną demokracją polityczną. Tradycje swoje utrzymała przez wieki dzięki swojemu położeniu geograficznemu, dzięki faktowi, że wojny omijały jej brzegi i że toczyła ona starcia zbrojne daleko od lądu angielskiego. Demokracja polityczna jest wynikiem pokoju, uprawy, dobrobytu. Nie może być demokracji w państwach ustawicznie narażonych na stratowanie wojną, w krajach gdzie kwitnie biurokracja, czyli zależność tysięcy obywateli od państwa, gdzie nie ma uczciwego poziomu życia.

W. Brytania zrozumiała na jakiej glebie udaje się demokracja polityczna: znalazła swoje własne rozwiązanie monarchii konstytucyjnej, systemu trój-partyjnego (obecnie dwu-partyjnego), rządu jednej partii politycznej, najsilniejszej w danym momencie. Formuła brytyjska jest bardzo swoista i nie da się jej zastosować do innych krajów; Anglia zresztą nie uważa, by jej system był systemem przeznaczonym na wywóz.

W W. Brytanii obok władzy państwa, obok wpływów gabinetu jest rozległa dziedzina samorządu, który nie dopuszcza wtrącania się państwa: ta właśnie bogata sieć samorządu, wiekami narosłe instytucje, rozmaite przywileje im dawane — oto jest podstawa demokracji angielskiej, która rodzi się w gminie ludzkiej, małych ośrodkach, uprawiana jest w stowarzyszeniach, cechach, związkach zawodowych.

To prowadzi nas do zagadnienia demokracji społecznej. Czy jest ona pełna w Anglii? Jeżeli za podstawy demokracji społecznej przyjmiemy — według Laskiego — „równość szans przy starcie życiowym“, rozpiętość i różnice bogactw, uprzystępnienie wychowania, ograniczenie przywilejów pewnych warstw, to trzeba stwierdzić, że W. Brytania nie jest jeszcze demokracją tak doskonałą jak n.p. Dania, Szwajcaria, Szwecja, Norwegia, Finlandia.

Kraje te dały klasom robotniczym olbrzymie zdobycze — brytyjski plan ubezpieczeń społecznych, tzw. *Beveridge Plan* powstał dopiero w toku tej wojny, podczas gdy kraje kontynentu miały te ubezpieczenia już dawno; n.p. Rzesza niemiecka od czasów Bismarka — zabezpieczenie starości, płatne urlopy (do niedawna nie istniały one w W. Brytanii, podobnie jak we Francji).

Warunki pracy dla rzesz obywateli są we wspomnianych krajach wielokrotnie lepsze; zarobki wyższe, dostęp do rozmaitych przyjemności kulturalnych łatwiejszy. Warstwy te mają „więcej z życia“ niż robotnik angielski, który jest często nieprowadzony, pozostawiony sam sobie (ale jest to znowu wynikiem pewnej izolacji jego, chęci życia w własnym kole oraz pewnej wrodzonej łagodności, braku siły przebojowej).

W W. Brytanii mamy dalej do czynienia z olbrzymimi różnicami majątkowymi: Sir William Beveridge — dzisiaj Lord Beveridge — autor wspomnianego planu, wzorowanego w dużej mierze na socjalnych zdobyczach Nowej Zelandii, zaznaczył sam w r. 1944-ym, iż ponad 80 procent bogactwa społecznego pozostaje w Anglii w rękach ponad 8 procent ludzi.

Wielkie fortuny są dalej cechą tego kraju: są to nie tylko majątki ziemskie arystokracji i prawdziwych *landlordów* — wobec których polscy właściciele rolni wyglądają śmiesznie ubogo — stanowiące dalej 40 proc. własności ziemskiej; ale głównie koncerny przemysłowe, trusty, własności miejskie, które sprawiają, że całe dzielnice należą do tego samego pana.

Arystokracja angielska jest stale zasilana nowymi sokami: co roku tworzy się nowych baronów, baronetów (*Bt*), *Sir'ów, Lordów*; hierarchia arystokratyczna jest dalej utrzymana i szanowana. Dopuszcza się do niej ludzi zasługi, jak i ludzi z wielkimi fortunami; przeciętny Anglik jest raczej dumny ze swojej arystokracji i mało kto odmawia przyjęcia tytułu. Społeczna struktura jest dalej raczej feodalna — albowiem osadzona na hierarchii. Jest rzeczą znamienną, iż do pewnych lokali nie pójdzie człowiek z *middle class*: nie dlatego, ażeby nie mógł sobie na to finansowo pozwolić, ale po prostu dlatego, iż wie, że „tam nie jest jego miejsce“.

Ten osobliwy feodalizm — sami Anglicy powiadaję, iż kraj ich jest „*a pleasantly feudal country*“ — kraj przyjemnie feodalny — jest wynikiem powolnej przemiany tego społeczeństwa; jest wynikiem także nieobecności zazdrości społecznej: wspaniały „*Rolls Royce*“ na ulicach przedmieść czy w zaułkach *East End'u* nie budzi zazdrości, wygrażania pięścią. Każdy Anglik ma pewne poczucie, że życie jest loterią, że jednym się udaje a drugim nie. Przyjmuje z dużą dozą fatalizmu różnice społeczne. Godzi się na nie; często jest dumny ze swoich *dukes* i *earls*.

Jakkolwiek warstwy wyższe tracą coraz bardziej na znaczeniu, jakkolwiek podatek spadkowy (*death duty*) jest tak ogromny, iż dziedziczne fortuny szybko topnieją, jakkolwiek opodatkowanie wyższych dochodów jest tak przygniatające, iż nie można dzisiaj zrobić majątku — nieraz tylko 6d. zostaje na £1 człowiekowi zarabiającemu ponad pewne stawki — to jednak bogactwo tego kraju nie jest dalej zbyt sprawiedliwie rozdzielone a przedział między *rich* i *poor* (bogatym i biednym) istnieje.

Jesteśmy świadkami zanikania tego przedziału, ale sprawiedliwość każe stwierdzić, iż zagadnienia ubezpieczeń społecznych (*social security*), szpitalnictwa — w Anglii jest ono utrzymywane z dobroczynności publicznej czyli składek; szpitale są przeważnie darmo — warunków pracy, płatnego urlopu itd. zostały lepiej i wcześniej rozwiązane przez małe kraje jak Dania, Szwecja, Norwegia, Szwajcaria; „start życiowy“ jest łatwiejszy zarówno w tych krajach, jak nawet w krajach Europy wschodniej, albowiem dostęp do oświaty jest szerzej otwarty dla wszystkich warstw (nie mówiąc już o demokracji amerykańskiej, która daje wszystkim równy start; ale za to ma swoją arystokrację pieniądza i milionerów i wielką rozpiętość dochodów między szczytami a masami: lecz masy zarabiają dobrze).

W tej mierze wojna ostatnia zrobiła wiele: demokratyzacja życia angielskiego posunęła się daleko. Ten proces będzie szedł dalej jako nieuchronny. Niemniej jednak przybysz do W. Brytanii spotka się dalej z cechami „feodalnymi“, które go zaskoczą: niech się im nie dziwi i niech je uszanuje. Anglia bowiem, wielka demokracja polityczna, chce rozwiązać zagadnienie swojej demokracji społecznej powoli, metodycznie, bez nacisku obcych nauk i doktryn. Ma ona tu wielką misję do spełnienia, jeżeli potrafi wykazać, iż możliwy jest swoisty socjalizm w połączeniu z poszanowaniem godności człowieka, swobodnego rozwoju instytucyj ludzkich, z pozostawieniem inicjatywie człowieka odpowiedniego pola. Anglia eksperymentuje obecnie ze swoim socjalizmem; płaci drogo za pewne doświadczenia. Miejmy nadzieję, że potrafi wynieść z tych prób wiele cennych nauk i że wcieli w swoje życie społeczne wiele zaleceń społecznej sprawiedliwości.

W. Brytania walczy dzisiaj o lepsze prawodawstwo społeczne; nie wiemy w jakiej formie przyjęty zostanie *Beveridge Plan*, ale jest rzeczą jasną, iż powstanie system ubezpieczeń społecznych liberalny i światły, kojarzący doświadczenia własne i cudze.

Toczy się walka o t.zw. kasy chorych: czy przyjąć sposób znany n.p. z Rzeszy niemieckiej a więc odwiedzania przez pacjenta lekarzy dowolnie wybranych, czy też stworzyć system znany n.p. w Polsce centralnego przyjmowania pacjentów w szpitalach i przychodniach? Zawód lekarski sprzeciwia się zaciągowi przez państwo: cytadela z Harley Street — tak ostro oceniona przez powieściopisarza Cronina w jego głośnej książce „*The Citadel*“ — broni się mocno.

System szpitalnictwa woła głośno o przebudowanie: ale kto ma finansować szpitale — państwo czy gminy? Utrzymywanie szpitali, finansowanych przez prywatne składki nie wydaje się dalej możliwe, albowiem dobroczynność publiczna maleje (maleją fortuny, które dawniej utrzymywały szpitale, jakkolwiek testamenty, *last wills*, ogłaszane w pismach angielskich wykazują, iż pozostawienie £100.000 albo więcej nie należy i dzisiaj do rzadkości).

O prawa klasy robotniczej walczą *Trade Unions*, związki zawodowe, które są obecnie potęgą. Bez ich zgody nie może się utrzymać dzisiaj żaden rząd. One to mają wgląd w warunki pracy, one to sprzeciwiają się niesprawiedliwym płacom; arbitraż między pracodawcami a pracobiorcami jest dzisiaj formą uświęconą a w wielu fabrykach istnieje dzisiaj ścisła współpraca między robotnikami a dyrekcją: w czasie wojny powstały „rady produkcyjne“, które były komórkami współpracy i dyskusji między kierownikami a robotnikami, a metody te utrzymały się ku pożytkowi wielu zakładów.

Modernizują się sposoby produkcji, wzrasta bezpieczeństwo pracy; hale fabryczne stają się bardziej przestronne, widne, coraz więcej fabryk daje robotnikom nie tylko tusze, „sztuczne słońce“, ale i kluby sportowe, możność wyjazdu na tani wypoczynek. Postępy są wyraźne nawet w górnictwie, — i tak n.p. na terenie Szkocji powstały wzorowe kopalnie węgla o doskonałych warunkach higieny i bezpieczeństwa. Także kolonie „lekkiego przemysłu“ — tzw. *Trade Estates* — powołane do życia przez rząd przed wojną dla rozbicia skupień bezrobocia i t.zw. *depressed areas* (albo *black areas*) — okazały się doskonałymi pomysłami w dziedzinie polepszenia warunków pracy.

W. Brytania znajduje się zatem na drodze olbrzymiej przebudowy społecznej: umożliwia szerszym warstwom dostęp do oświaty, otwiera nowe szkoły, ogranicza przywileje *public schools*, otamowuje przywileje tzw. *upper classes*. Widzimy, że *Foreign Office* staje się dostępny dla ludzi, którzy nie mogą się pochlubić *old school tie* (krawaty noszone przez pewne szkoły, głównie *public schools*, mają swoje wzory, herby itd. — stanowią one nieraz rodzaj „zawołania“ dla dawnych uczniów i są przez nich pilnie noszone) — również i kobiety uzyskują szeroki wstęp do zawodów, które do niedawna były dla nich zamknięte. Można powiedzieć śmiało, iż kobieta angielska na swojej drodze usamodzielnienia uzyskała lepsze wyniki — albowiem może zajmować wyższe stanowiska — aniżeli kobiety na kontynencie.

Proces demokratyzacji życia społecznego i obalania odwiecznych przywilejów klasowych pójdzie powoli w W. Brytanii. Niech przybysz do tego kraju nie gorszy się tymi formami, niech ich nie potępia. Są one wynikiem tradycji i powolnej, cierpliwej uprawy tego kraju. Anglia bowiem jest nie darmo ojczyzną nauki o ewolucji: uważa ona, że rewolucja jest krokiem rozpaczy, jest dowodem, że siły społeczne zmartwiały, przestały działać, że ogół stał się ofiarą zastoju. Dlatego nawet rewolucje — albowiem przemiany doby tej wojny były w dziedzinie socjalnej istną rewolucją — dokonywane są tu po cichu i bez rozgłosu.

JAWNUTA

O żołnierzu polskim w książkach angielskich

KAMPANIA WRZEŚNIOWA

W książce „Wielcy żołnierze drugiej wojny światowej“*) mjr. de Weerd poświęca nieco uwagi kampanii wrześniowej.

Atak na Polskę, mimo licznych niespodzianek, jakie przyniósł, nie otworzył oczu Zachodu na fakt, że druga wojna światowa nie potoczy się tradycyjnym torem. Współdziałanie wszystkich niemieckich rodzajów broni było zdumiewające: wprawdzie spodziewano się, że 90 dywizji niemieckich oraz 8 dywizji zmotoryzowanych da sobie radę z 60 dywizjami polskimi, ale szybkość Niemców w posuwaniu się naprzód była złowróżbna.

Zniszczenie urządzeń telefonicznych i telegraficznych poprzedziło atak na lotniska. Wojsko polskie, pozbawione rekonesansu powietrznego, zostało pocięte przez głębokie zagony czołgów niemieckich. Zawiodły wszelkie próby ustalenia frontu według dawnych wzorów. Zapanował chaos — tu i owdzie toczyły walkę poszczególne wyspy oporu. Wszelka nadzieja upadła, kiedy 17 września armia rosyjska przekroczyła granicę wschodnią.

Warszawa broniła się jeszcze dziesięć dni, przy czym Hitler osobiście wydał rozkaz zbombardowania stolicy Polski: ciężkie straty, jakie poniosła ludność cywilna, były później przez Niemców określane jako „akt łaski“, skoro uniemożliwiły przedłużenie beznadziejnej obrony. Cała kampania trwała ledwie ponad miesiąc, t.zn. mniej niż podrzędna operacja podczas pierwszej wojny światowej.

Zachód pozostawał głuchy i ślepy. Szybkość posuwania się naprzód kolumn niemieckich, znakomita organizacja zaopatrzenia, wysoka umiejętność w zwalczaniu przeszkód naturalnych — wszystko to uszło jego uwagi. Powodzenie Hitlera przypisywano słabości wewnętrznej Polski oraz upieraniu się dowództwa polskiego przy obronie wysuniętych naprzód pozycji. Optymizm dalej panował w kołach sojuszniczych. Oczekiwano chwili, kiedy legiony niemieckie zmierzą się z „niezrównaną“ armią francuską.

Mjr. de Weerd powtarza głupią plotkę o rzekomej bójce pomiędzy płk. Beckiem a marszałkiem Śmigłym-Rydzem na peronie dworca w Czerniowcach.

O WYJŚCIU ARMII ANDERSA Z ROSJI

Prosowiecki, choć skądinąd ... doskonały, dziennikarz angielski pochodzenia rosyjskiego, Alexander Werth, w drobiazgowym i wszechstronnym obrazie wysiłku Rosji w r. 1942/3*) zahacza kilkakrotnie o sprawę armii gen. Andersa.

W połowie sierpnia 1942 Werth notuje, że moskiewska wizyta Churchilla nie ma bezpośredniego związku z odejściem armii Andersa do Iranu, gdyż sprawę tę załatwiono znacznie wcześniej. Tak czy inaczej, kwestia polska zaczyna wywoływać tarcia pomiędzy Rosją a Wielką Brytanią.

Trzeba przypomnieć, że właśnie w owym czasie sojusznicy — bez powodzenia — usiłowali zapewnić sobie bazy lotnicze na Kaukazie i że niektórzy przemyśliwali o zużyciu armii Andersa w celu obrony przed Niemcami dróg prowadzących na Bliski Wschód. Tego rodzaju pomysły, plany i propozycje były wysoce obraźliwe dla Rosjan, skoro opierały się na domniemaniu, że armia rosyjska jest pobita i że „Brytyjczycy, Polacy i Bóg wie jeszcze jakie wojska muszą wziąć na siebie zadanie „obrony Kaukazu“. Ponoć — pisze Werth — informacje o nieuniknionej klęsce Rosji, z którymi liczyli się pewni rzeczoznawcy wojskowi na Zachodzie, wychodziły od Andersa i innych Polaków w Rosji.

Cała historia wyjścia armii Andersa — dodaje Werth — jest bardzo skomplikowana, nie wszystkie cienie znajdują się po jednej a blaski po drugiej stronie, ale bez względu na to, czy Anders wyprowadził swoją armię, by bronić Kaukazu, czy by ocalić ją od rzezi na froncie rosyjskim i stworzyć zarodek gwardii pretoriańskiej dla Polski swojej wyobraźni — pozostaje faktem, że opuściła ona Rosję w chwili kiedy, jak sądziła, okręt tonął. Odegrało to, psychologicznie biorąc, w przyszłym zerwaniu stosunków dyplomatycznych z rządem londyńskim bardziej decydującą rolę, niż fakt, że Anders był w pojęciu Rosjan „faszystą“.

To, że Wielka Brytania w pewnym sensie zachęciła Andersa do opuszczenia Rosji, wytworzyło dodatkowy osad w i tak już ostrych nastrojach antybrytyjskich. Podobno zresztą Stalin poinformował wówczas Churchilla, że „widoki armii czerwonej nie są nawet w przybliżeniu tak złe, jak tego dowodzili Anders i inni „rzeczoznawcy“, i że nie trzeba będzie Polaków do „obrony Kaukazu“.

Pod 19 października 1942 Werth zapisuje, że tłum, obserwujący oficera polskiego, który stał w ogonku do sklepu gastronomicznego, zaczął wykrzykiwać: „Zamiast wystawać w ogonkach po przysmaki, wy, Anglicy, lepiej byście zrobili, gdybyście się zaczęli bić“. Kiedy oficer wyjaśnił, że jest Polakiem, dano mu spokój.

Krytycznemu stosunkowi do „dezercji“ armii Andersa, towarzyszyły w tym czasie liczne opowiadania o „dziwacznym (odd)“ zachowaniu się ambasadora Kota. Jak mówiono, miał on przechwalać się: „My, Polacy, posiadamy najlepszy wywiad w Rosji“.

Werth przyznaje, że wielu Polaków miało bardzo ciężkie życie („very raw deal“) w Rosji, ale takie samo ciężkie życie było także udziałem Rosjan. A chociaż Rosjanie nie mogli zaopatrywać armii Andersa w sposób właściwy, nie było ze strony Polaków rzeczą szczególnie elegancką opuszczać Rosję w tak ciężkich dla niej czasach

Co się tyczy zesłań Polaków w r. 1939, była to rzeczywiście paskudna sprawa („pretty raw and ugly business“), ale w dążeniu Rosjan do usunięcia z terytoriów bliskich granicy z Niemcami żywiołów, które uważali za wrogie i za potencjalną piątą kolumnę w wypadku ataku niemieckiego na Rosję, tkwiła pewna surowa logika. „Tylko czy trzeba było to robić w taki niechlujny i nieporządny sposób oraz rzucać ich w pustkowia Kazachstanu — lituje się łaskawie Werth — i Bóg wie gdzie jeszcze? W latach 1939–1940 nie było na to żadnego usprawiedliwienia, bo nie było wtedy wojny“.

Pod 29 listopada 1942 Werth zapisuje, że „P. właśnie wrócił z Teheranu i opowiadał, iż głównie pod wpływem Polaków Andersa tamtejsi wojskowi brytyjscy są nastrojeni krańcowo antysowiecko“.

Werth miał interesującą rozmowę z pewnym kapitanem rosyjskim (w Saratowie w styczniu 1943). „Geografia i historia — powiedział nieco sentencjonalnie ów kapitan — ukształtowały charakter Polaków. To nie ich wina, to po prostu pech (bad luck). Niemniej mają oni zły charakter. Cała ta gadanina o większej Polsce, to bujda. Polacy są w rzeczywistości małym narodem, dlaczego więc przemawiają tak, jakby byli narodem wielkim? Klasa szlachecka w dalszym ciągu uważa się za klasę panującą w Polsce. Ci ludzie niczego się nie nauczyli: szkoda, że doznają zachęty ze strony Brytyjczyków i Amerykanów“. Kapitan zapewnił Wertha, że Polacy nie dostaną Lwowa, że natomiast mogą dostać Prusy Wschodnie. „Ale jeśli Polacy chcą naszego poparcia, muszą zrozumieć, że ich jedyną nadzieję stanowią dobre stosunki z nami... Sami się nie utrzymają. Piłsudski ze swym tańcem na linie był absurdalnym wybrykiem historii. Można tańczyć na linie rok, można tańczyć dziesięć lat, nie można *żyć* na linie“. „Czułem, że kapitan jest zbyt surowy dla Polaków — pisze Werth — ale w jego ostatniej uwadze było coś — tak, było coś trafnego“.

Z książki Wertha dowiadujemy się, że na święto rewolucji rosyjskiej 7 listopada 1942 przysłali depesze Prezydent Roosevelt i Cordell Hull, Eden i premier Boliwii, z którą Sowiety nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, „i nawet hrabia Raczkiewicz“ [tak !], słowem wszyscy, z wyjątkiem Churchilla.

W SZKOCJI W ROKU 1942

Znana podróżniczka angielska, Rosita Forbes, w dalszym tomie swojej autobiografii*) w rozdziale p.t. „Polacy robią z wojny przygodę“, opowiada, jak w r. 1942 zetknęła się z oddziałami polskimi w Szkocji.

Szkocja w tym czasie — pisze pani Forbes — była dumna, że stała się cudzoziemska. Całe hrabstwa były jakby okupowane — i bronione — przez Polaków. Wysocy blondyni w hełmach bojowych patrolowali drogi. Świetnie zamaskowane wozy i czołgi przemierzały pola i łąki. W obozie spadochronowym z metalową wieżą do skoków roiło się od ludzi ruchliwych, jak wiewiórki. Trójjęzyczne afisze zapowiadały tańce. Mnożyły się małżeństwa polsko-szkockie.

Polacy żyli w gorączkowym oczekiwaniu zbliżającej się inwazji. Pewien oficer tłumaczył autorce, że dziesiątki pilotów rekonesansowych leci co noc nad Polskę i zrzuca instrukcje. Inny powiedział, że Polacy w Rosji są tak szczęśliwi z możliwości walki, iż całują dostarczone im przez Sowiety karabiny. Jeszcze inny kreślił wrażenia z wyprawy narwickiej.

Polacy w Szkocji wszystko ujmowali pod kątem miłości i wojny. Dla Francuzów — odezwał się ktoś — wojna jest straszliwym niepokojem, dla Anglików — nudną piłą, rujnującą wszystkie ich przyzwyczajenia, dla Polaków — podniecającą przygodą.

Pani Forbes niejednokrotnie podkreśla swój podziw i miłość do Polaków, którzy są „*najbardziej* czarującym i najprzyjemniejszym narodem“, pełnym odwagi i nie zdającym sobie sprawy, że można tej odwagi nie mieć. Szczególnie ciężkie były dla autorki pierwsze miesiące wojny, kiedy Warszawa toczyła rozpaczliwy bój a na Niemcy z samolotów brytyjskich spadały ulotki. I inni Anglicy odczuwali wtedy wstyd, ale to nie pomogło Polsce. Podobnie zresztą nie mogła pomóc Anglia bohaterskiej Finlandii.

Książkę zamykają pesymistyczne akcenty. Podnosząc, że heroicznych powstańców warszawskich gen. Bora, opiewanych w kategoriach epickich przez prasę amerykańską, poświęcono potem „koniecznościom politycznym“, pani Forbes wyraża nadzieję, że Rosja zdobędzie się na wspaniałomyślność w Helsinkach i w Budapeszcie oraz w „zasługującej na głęboką cześć Warszawie“.

SCRUTATOR

*) Great Soldiers of the Second World War. By Major *H. A. de Weerd*. Map by *Lion Dunne*. Londyn, Robert Hale, 1946; str. 2nl. i tabl. 8.

*) The Year of Stalingrad. A Historical Record and a Study of Russian Mentality, Methods and Policies. By *Alexander Werth*. Londyn, Hamish Hamilton, 1946; str. 2nl. i XVIII i 478 i 2nl.

*) Appointment with Destiny by *Rosita Forbes*. With 55 illustrations. Londyn, Cassell, 1946; str. 303 i 1nl. i tabl. 8.

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Znudziło mi się, moi mili, odstawiać politykę i dlatego opowiem wam dzisiaj trochę ciekawostek z szerokiego świata. W Hyde Parku od polityki liście pożółkły na drzewach i ludzie bledną przed trybunami oratorów, słuchając bieżących wywodów. Więc dzisiaj pomówię z wami o sprawach z innej beczki.

Właściwie wobec ujawnienia budowy bomby atmowej w ogóle możemy przestać politykować; gdyby jeszcze w dodatku zdradzili nam tajemnice budowy pokoju — można by już coś na tym budować...

Świat się kręci, moi mili, a z tego kręcenia rodzą się rzeczy ciekawe i nowe, które w chaosie emigracyjnych zajęć londyńskich i prowincjonalnych mogły ujść waszej demokratycznej uwagi.

Czy wiecie np., jak się nazywa nowy Goering? Towarzysz Aleksiej Resnikow, dyrektor „Sovietische Industrie" w Niemczech. Nazwisko inne, ale metody rabunkowe, prześcigające samobójcę Hermana.

O tym, jak się nazywa chiński Bierut też pewnie nie wiecie. Choć to taka sama marionetka, ale, trzeba przyznać, imię ma romantyczniejsze i milsze dla ucha: „Li-Li-San", przywódca komunistycznych Chińczyków w walce z rządem centralnym. Jestem prawie pewny, że obrotny towarzysz Gomółka na wieść o tym spróbuje przezwać tymczasowego obywatela „prezydenta" na wzór chiński: „Pe-Pe-Er". „Tyż piknie "— jak powiedział pewien góral — słysząc po raz pierwszy cywilizowane słowo, określające pewną część ciała,

Czy wie któryś z miłych demokratów o ostatnich obliczeniach uczonych? Stwierdzili oni, że człowiek w ciągu 75 lat życia traci około 20 kilogramów skóry, która ulega zrogowaceniu. Hm... to możliwe. Teraz byłaby poniekąd wyjaśniona tajemnica Grabskiego. Dość prędko uległ „zrogowaceniu".

Czy nie interesuje was, moi mili, tak zwany „dramat palestyński"? Pewne pismo tureckie zdaje się, że „Jediot Auchronot", podało jeszcze przed kilkoma miesiącami, że 70 arabskich pracowników niemieckiego wywiadu w Turcji zostało „zaangażowanych" przez misję sowiecką w Bejrucie. Misja ta zajmuje się głównie wywoływaniem ruchów antyżydowskich wśród Arabów. Czyli innymi słowy, moi mili, lada dzień w sali konferencyjnej U.N.O. ujrzymy starego beduina Wyszyńskiego w burnusie i lada dzień w czasie głosowania konferencyjnego, po podniesieniu ręki przez Mołotowa, lojalnie podniosą czarne łapy (oczywiście po Winiewiczu i Rzymowskim) „uciśnione" przez Brytanię, na wieki zaprzyjaźnione z Kremlem — „anty-faszystowskie" Araby.

Ale dość o Arabach, przejdźmy w świat bajki. Przed kilkoma tygodniami powstała w Rosji pierwsza radziecka opera dla dzieci. Napisał ją Marian Kowal. Tytuł: „Wilk i siedmioro koźląt". *Opera osnuta jest na tle... bajek słowiańskich. Czy tych bajek z konferencji paryskiej, czy nowych z New Yorku — tego nikt nie wie. Długo myślałem nad tym dziełem operowym i już w myślach widziałem aktualną obsadę. W roli Wilka — każde dziecko wie... — A siedem koźląt? Polska, Czechy, Jugosławia, Rumunia, Bułgaria, Węgry, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia... Stop, stop! Więcej, niż w bajce! Nie siedem, ale d z i e s i ę ć! Dziesięć koźląt ofiarnych. W prawdziwej bajce słowiańskiej więcej ich, niż w tej operowej...*

Przed dzisiejszym naszym zebraniem pewien miły demokrata, stały nasz słuchacz, przyniósł mi do Hyde Parku reżimową gazetę z Polski. W dziale: „Rzeczy ciekawe" z prawdziwym zdziwieniem znalazłem taką notatkę, którą czytam wam dosłownie:

„Zwierzęta nie są na ogół wrażliwe na kolory. Wrażliwość tę, poza człowiekiem, spośród ssaków wykazuje jeszcze tylko ... małpa.

„Z tego względu trzeba podać w wątpliwość twierdzenie, że c z e r w o n a p ł a c h t a, którą posługują się matadorzy na arenie w czasie walki działa na byka drażniąco. Prawdopodobnie ten sam efekt byłby osiągnięty, gdyby machano przed bykiem płachtą białą..."

Nigdy! Nie zgadzam się z tym poglądem! W ogóle z całą notatką. Znam np. wybitne małpy, które przepadają za kolorem czerwonym i już nieraz w małpi sposób dały temu wyraz. Jestem również głęboko przekonany, że nic tak nie podrażnia nie tylko głupiego byka, ale przyzwoicie myślącego Polaka — jak czerwona płachta.

Przyznam się wam nawet szczerze, że rozum byków, które właśnie w Hiszpanii, w ojczyźnie faszyzmu, tak dawno, przed wiekami, odważnie manifestowały swoje uczucia pod adresem czerwonej płachty — zaczyna mi imponować. I czasem mam takie chwile, obywatelki i obywatele, że żałuję, iż nie mam rogów... Leciałbym najeżony prując powietrze, bijąc racicami w piasek i łbem rogatym waliłbym prosto w czerwoną płachtę. Nigdy w białą.

Myślę, że te moje „bycze" uczucia podziela wiele osób z najlepszych sfer emigracyjnych Polonii Brytyjskiej i Amerykańskiej...

„Matadorów" na arenie pepeerowskiej, niestety, mamy dość wielu. Wzięli czerwone płachty do rąk i machają... A my? Pochylmy łeb do ataku, zjeżmy sierść i wpatrujmy się w „matadorskie" twarze, żeby dobrze zapamiętać.

Żegnam was, moi mili demokraci, aktualnym zawołaniem: „Precz z Arabami z Kremla!", „Chwała bajce słowiańskiej!". „Niech żyje płachta na byka!"

Do usłyszenia za tydzień na tej same paczce, o tej samej porze, na tym samym miejscu.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

NA POLAKÓW W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam czek na sumę £10.0.0 (dziesięć funtów) z prośbą o przekazanie tej sumy na pomoc polskim dzieciom w Niemczech. *Bezimiennie*

SPIS RZECZY

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.
Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 6d. za słowo, dwukrotne 9d. za słowo, trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 4d., dwukrotne 6d., trzykrotne 8d. za słowo.
Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.
Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper.